

Dzierżykary-Rogalski, Tadeusz

W dwudziestolecie polskiego sukcesu w Faras. Dziennik terenowy uczestnika polskiej ekspedycji

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 27/2, 249-290

1982

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



W DWUDZIESTOLECIE POLSKIEGO SUKCESU W FARAS

Pamięci Kazimierza Michałowskiego

Tadeusz Dzierżykray-Rogalski
(Warszawa)

FARAS



Ryc. 1. Malowidło ściennie (fresk) przedstawiające Św. Ignacego

DZIENNIK TERENOWY UCZESTNIKA POLSKIEJ EKSPEDYCJI

Historia polskiego sukcesu w Faras jest zbyt znana i opisana w fachowej literaturze międzynarodowej, żeby ją tu znów powtarzać.

Wykopaliska w Faras zostały rozpoczęte na apel UNESCO w celu ratowania bezcennych zabytków kultury, stanowiących przecież własność całej ludzkości, a zagrożonych zalaniem wodami wielkiego jeziora po wybudowaniu Tamy Asuańskiej. Polska Misja rozpoczęła prace w Faras

nie mając ani odpowiednich funduszy, ani potrzebnego sprzętu. Zdecydował o tym entuzjizm i wola prof. Kazimierza Michałowskiego. Wybrał on w Faras spośród kilku innych proponowanych Polakom stanowisk, wbrew radom fachowców, ale ... po dokonaniu rzetelnej kwerendy bibliograficznej.

Wykopaliska rozpoczęto w miejscu, gdzie przed I wojną światową prowadził je wybitny archeolog brytyjski — prof. Francis Griffith z Oxfordu. Griffith odkrył w Faras bloki kamienne z inskrypcjami ze świątyni Totmesa III. Właśnie to zdecydowało o wyborze miejsca, i — jak często bywa — przyniosło rewelacyjną niespodziankę. W Faras nie znaleziono świątyni Totmesa III, ale odkopano wspaniałą wczesnochrześcijański zespół architektoniczno-sakralny z katedrą, pałacem biskupim, klasztorem z licznymi kaplicami i grobami biskupów. Było to centrum religijne i dyspozycyjne ówczesnej Nubii chrześcijańskiej.

W czasie czterech Kampanii Wykopaliskowych w latach 1961—1964 dokonano odkryć, które wślawiły imię nauki polskiej. Ich efekty są ciągle przedmiotem zainteresowania uczonych, a dwie galerie bezcennych fresków zdobią ściany Muzeum Narodowego w Warszawie i Muzeum Narodowego w Chartumie. To jest właśnie „cud z Faras”.

Jako uczestnik prac wykopaliskowych w Faras i członek Polskiej Misji postanowiłem pokazać mały odcinek „kuchni” archeologiczno-antropologicznej. Są to fragmenty mych notatek terenowych z dwóch Kampanii 1963 i 1964. Dostarczają one zupełnie nieznanych szczegółów, dotyczących naszej przecież bardzo uciążliwej i specyficznej pracy, stanowiąc podstawę jej efektów.

FARAS 1963

W Shelal wchodzę na stojący przy brzegu w przystani nilowej statek sudański „Alzahra”. Stateczki tego typu utrzymują regularną łączność z Wadi Halfa. Na pokładzie statku sudańskiego jestem więc już na terytorium Sudanu, choć Shelal leży w Egipcie, na samym południu, tuż przed Asuanem, przez który będziemy dziś przepływać. Na statku są już: prof. Kazimierz Michałowski z żoną Krystyną Michałowską i nasz stypendysta-egiptolog mgr Marek Marciniak. Wkrótce wypływamy na środek rzeki, na pełną, zupełnie gładką taflę wody.

„Alzahra” składa się z trzech połączonych ze sobą elementów nawigacyjnych: głównego statku i z dwóch stron równolegle połączonych z nim przyczep. Właśnie na jednej z nich są nasze kabiny, wygodne-dwulóżkowe, z bieżącą wodą. W przyczepach nie słychać też pracy motoru znajdującego się w środkowym kadłubie.

Płyniemy, mijamy Asuan i gigantyczną budowę Wielkiej Tamy — Saad Ali, wznoszonej przez Rosjan. Powoli obok nas przesuwają się

kamieniste brzegi, wielkie latarnie i linie wysokiego napięcia, moc wszelkiego sprzętu, ogromne dźwigi, spychacze, żurawie.

Za parę lat poziom wód nilowych podniesie się tu o kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt metrów, wypełniając całą tę dolinę i zalewając wszystko dookoła. Ale tama ma być wielkim dobrodziejstwem. Pozwoli na regulowanie dopływu wody do Egiptu, a potężna elektrownia dostarczy prądu dla całego kraju, a także dla sąsiedniego Sudanu.

Na brzegu widać wioski nubijskie. Wszystkie ulegną zagładzie, a ich ludność będzie przeniesiona gdzie indziej.

Osiedla nubijskie są zupełnie różne od ciasnych i stłoczonych bezładnie wsi egipskich. Ich schludne, obszerne domki otoczone są murkami, ulepionymi z nilowego mułu, tego życiodajnego osadu, który pozostawia stale na swych brzegach. Ludzi tu mało. Stąd wszyscy zdolni do pracy mężczyźni emigrują na północ do pracy w miastach egipskich. Tu ziemia nie jest w stanie wyżywić jej mieszkańców. — Nubijczycy mają opinie doskonałych robotników. We wsi zostają tylko kobiety, dzieci i starcy. Ale mężowie po pewnym czasie wracają zawsze do swych rodzin, a podczas swej nieobecności przekazują im zarobki.

Brzegi Nilu są strome, a rzeka głęboka. Podobno głębia sięga tu 30 metrów, a więc jest to spadziste i stosunkowo wąskie, a głębokie koryto.

Płyniemy. Dmie przyjemny wiaterek, na statku jest przewiewnie, ludzi mało — to znaczy w pierwszej klasie, bo w drugiej i trzeciej pod pokładem głównego kadłuba rozłożyli się jacyś podróżnicy i pielgrzymi. Rozwinęli wprost na deskach swe toboły, rozstawili prymusy i pichcą sobie jedzenie. Ci ludzie to urodzeni koczownicy. Przenoszą się z miejsca na miejsce, wędrują z całym dobytkiem, który da się zmieścić w jednym worku. Pewnie dlatego, że gdy już jest tak źle, iż nie można wytrzymać, trzeba się przenieść gdzie indziej, z nadzieją, że tam będzie lepiej. Czasem młodzi ludzie zabierają całą rodzinę. W Kairze pod jakimś płotem widuje się takich koczowników: rozłożona derka, wielki czajnik, prymus i małe umorusane dzieci, które kobieta przygarnia do siebie. Mąż gdzieś szuka zarobku.

Krajobraz wolno przesuwa się przed nami. Myślę, że szkoda tych malowniczo położonych wiosek i tych zasiedziały tu od wielu pokoleń ludzi. Postanowiono już, że mieszkańcy Nubii egipskiej zostaną ewakuowani na północ od I katarakty do rejonu Kom Ombo, zaś ludność sudańska — po drugiej stronie granicy — daleko na południe, do Kashm el — Girba, nad granicą abisyńską. Jak to zniosą? Jak przystosują się do nowych warunków? Gdy ktoś zapytał Nubijczyka o to, odpowiedział: Skoro Mahomet dla dobra innych ludzi mógł przenieść się z Mekki do Medyny, czy my nie będziemy mogli? — Tak, to ta filozofia rezygnacji, uległości i poddania się przeznaczeniu. Wyciska ona swe piętno na całym

tym świecie, decyduje o postępie, a raczej hamuje go, pozbawia całe populacje wszelkiego dynamizmu.

Szybko zapada noc. Robi się chłodno. Brzegi stają się czarne. Czasem mignie nikielne światelko, kaganek palący się gdzieś w mijanej wiosce. Na chwilę załśni woda, ale niebo jest ciemne. Tylko gwiazd tu dużo. Polarna nisko nad horyzontem i śmiesznie odwrócony Wielki Wóz. Zbliżamy się do Zwrotnika Raka.

* *
* *

Dopływamy do Abu Simbel. Statek zatrzymuje się i wysiadamy wprost na piaszczystą plażę. Od razu zaczepia nas mały chłopiec w brudnej galabii i proponuje sprzedaż kameleona. Zwierzątko uwiązane za ogon do długiego sznurka ledwo już łązi, ostatecznie umęczone. Kupuję go za kilka piastów i kładę sobie na ramieniu, gdzie rozsiada się wygodnie.

Po wybudowaniu pierwszej tamy w Asuanie woda doszła do stóp czterech monumentalnych posągów Ramzesa II, wykutych w skale przed wejściem do wspaniałej jego świątyni. Teraz temu wyjątkowej wartości zabytkowi, wraz ze znajdującą się obok świątynią królowej Nefertari — żony faraona — grozi zagłada.

Jest kilka projektów ratowania Abu Simbel. Zabezpieczenie świątyń wielkim wałem — czyli umieszczenie ich jakby w wielkiej misie — okazało się nierealne. Zbyt wielkie byłoby ciśnienie wody na jej ściany. Polski, całkiem oryginalny projekt, przewiduje zbudowanie nad świątynią kopuły, z komunikacją, wprost z powierzchni wody. Najprawdopodobniej przejdzie jednak projekt włoski, polegający na wycięciu świątyń ze skały i przetransportowaniu ich wyżej. Oczywiście trzeba będzie pokrajać cały ten bezcenny zabytek na kawałki i złożyć go z powrotem na górze. — Tak czy inaczej należy się śpieszyć, gdyż niezabezpieczenie Abu Simbel nie wstrzyma naporu wód nilowych po ukończeniu budowy nowej tamy.

Jedziemy dalej, Nil rozlewa się tu szeroko. Wielkie posągi, zapatrzone w czas i przestrzeń, oddalają się powoli. Na jednej z wysepek dostrzegam rozwalonego na piasku wielkiego krokodyla. Bestia nie reaguje nawet na hałas, który wyczynia motor naszego statku. Tu już brzegi są zarosnięte zielonymi krzakami i wysoko sterczącymi palmami. Wioski są rozległe, często budowane z kamienia i chyba bogatsze niż bliżej Asuanu? Wszystko to zostanie zatopione.

Ciekawa rzecz — dotąd nie ustalono jak daleko rozleje się to wielkie jezioro? Obliczenia są tylko przybliżone.

Dzień na wodzie upływa powoli, ale przyjemnie. Widoki są ciekawe, nie jest zbyt gorąco. Na statku są odpowiednie zasłony, daszki płócienne. Można rozkosznie wyciągnąć się na leżaku, wsłuchiwać w plusk wody

i obserwować zmieniający się krajobraz. Wieczorem mijamy Faras. Jednak nie można się tu zatrzymać. Trzeba dopłynąć do dość odległej Wadi Halfa, a następnie już drogą lądową, brzegami Nilu — wrócić. Jest jeszcze jasno, więc widać dobrze wysoki brzeg, teren naszych wykopalisk, a w dali, w ostatnich blaskach zachodzącego słońca, fioletowopomarańczowe góry. Na brzegu zgromadzeni pracownicy naszej Misji. Na widok statku rozwijają transparent z wielkim napisem: „Nowe Freski”. Prof. Michałowski jest wzruszony. Kiwamy rękami, ale odległość jest dość duża. „Alzahra” powoli płynie dalej.

Za Faras brzeg jest pustylny. Nie widać żadnych osiedli. Robi się ciemno. Długo wsłuchuję się w szelest, jaki czyni dziób statku przecinając gładką taflę rzeki. Prąd jest tu słaby. Czasem coś głośniej pluśnie. Od brzeg ciągnie ożywczy chłód.

* * *

Rano jesteśmy w Wadi Halfa. Na statek wkraczają celnicy i sudańska służba graniczna. Są ubrani w krótkie, starannie zaprasowane szorty koloru khaki, z których wystają ich długie, cienkie nogi. Na głowach mają granatowe kapelusze z wielkim odwiniętym fantazyjnie rondem. Formalności trwają dość długo. Schodzimy wreszcie na ląd, gdzie czeka nas architekt Misji — inż. Antoni Ostrasz i inspektor starożytności, stale uśmiechnięty Nedżm el Din Sherif. Jedziemy do miasta.

Wadi Halfa to spory ośrodek handlowy. Długie szeregi dość bogato zaopatrzonych straganów i maleńkich sklepików. Ładny meczecik z białym minaretem i obszerny gmach Muzeum. Urzęduje tu drugi urzędnik służby starożytności — opasły Mr. Dżemil, ubrany w białą galabiję, z wielkim zwojem na głowie. Dżemil jest sympatyczny, podobno nigdy nie ma pieniędzy. Odkłada na dość kosztowną pielgrzymkę do Mekki, gdzie już był dwa razy. Ale im częściej, tym więcej błogosławieństwa bożego... Teraz do Mekki podróżuje się specjalnymi samolotami, które zabierają pielgrzymów z Kairu, Chartumu i innych muzułmańskich stolic. Trwa to krócej niż dawniej, gdy się podróżowało na wielbłądzie i statkiem, ale kosztuje znacznie drożej.

Na dziedzińcu muzealnym wielki ruch. Jest to punkt magazynowania zabytków, wydobytych na tym terenie w ramach wielkiej akcji ratowniczej UNESCO. Nubia wraz ze swymi wspaniałymi skarbami dawnych kultur jest przecież skazana na zagładę. Profesor Kazimierz Michałowski, działając właśnie z ramienia UNESCO, wydał opinię, że problem ocalenia tych skarbów przekracza możliwości jednego kraju, zarówno pod względem finansowym, jak i naukowo-organizacyjnym. Musi więc oprzeć się na szerokiej współpracy międzynarodowej. Najważniejsze jest uratowanie zabytków architektury. Tu żadna, nawet najbardziej dokładna dokumentacja nie jest w stanie zastąpić oryginalnych obiektów. Jeśli się

tylko da, należy przy współpracy międzynarodowej zabezpieczyć je i ewakuować.

Wniosek prof. Michałowskiego — przedstawiony specjalistom, jak i czynnikom oficjalnym — spotkał się z aprobatą. Właśnie dlatego, że główny nacisk położono na ratowanie cennych i powszechnie znanych obiektów. W tej chwili na tym terenie pracuje już kilkanaście misji zagranicznych. Do wielkiej akcji UNESCO włączyły się nawet takie państwa, jak Argentyna i Japonia, nie posiadające żadnej tradycji w zakresie prac w Egipcie. Wszyscy ruszyli do intensywnej pracy, ale czas jest nieubłagany. Zostało go już niewiele, a do zrobienia jest ogromnie dużo.

Po rozmowach, odebraniu poczty w Muzeum i zakupieniu niezbędnego sprzętu, załadowaliśmy się do motorówki. Aby dostać się do Faras trzeba przeprawić się na drugą stronę Nilu, a stamtąd brzegiem ruszyć znów na północ. Wody rzeki są tego dnia bardzo wzburzone. Zaczyna kołysać, a nasze bagaże spryskuje wysoka fala. Na przeciwległym brzegu oczekuje nas zamówiony specjalny wóz — terenowy landrower. Przy szoferze siedzą panie, tzn. pani Michałowska i jakaś stara angielska lady, żona byłego ambasadora Wielkiej Brytanii w Kairze, ciekawa naszych wykopalisk. My z Profesorem z tyłu. Szofer ruszył szybko. Na zakrętach podlatywaliśmy do góry, ale nie było tu żadnej drogi i piaszczyste wydmy trzeba było brać z rozpędu. Mijaliśmy czyste wioski o rozległych, otoczonych murem domach, z kilkoma palmami daktylowymi na środku zupełnie zamkniętego podwórka. Na domach tych były już umieszczone specjalne znaki ewakuacyjne w kształcie krzyżyka w kółku. Wąski pas brzegu rzeki jest niezamieszkały, ale za to gęsto porosły zielonymi uprawami. Niestety bezwzględna pustynia potrafiła i tu wtargnąć. W niektórych miejscach ruchome wydmy, zasypując wszystko po drodze, schodzą aż do wody. Za każdą wioską tradycyjnie bardzo skromne i ubogie cmentarze muzułmańskie, a dalej bezkres piasków, wydmy i skalistych gór ciągnących się w nieskończoność. Życie tu trzyma się kurczowo najbliższego pobrzeża rzeki, dalej od niej — nie istnieje. Jest po prostu niemożliwe.

I oto przed nami wioska Faras. Nad brzegiem Nilu wielkie wzniesienie, rozkopany kom, miejsce naszych wykopalisk. Na prof. Michałowskiego rzuca się od razu tłum czarnych ludzi. To nasi robotnicy witają go serdecznie i owacyjnie. Krótka, urywkowa wymiana zdań, informacje, listy dla naszej ekipy siedzącej tu od kilku tygodni.

„Kulu kłois”. Jesteśmy zmęczeni. Wylazi podróż i całodzienne kręcenie się po Wadi Halfa.

* * *

Bytuje się tu wygodnie. Jeden dość obszerny zespół mieszkalny został zaadaptowany dla potrzeb naszej Misji. Na dużym wewnętrznym podwór-

ku, na które wychodzą „pokoje” przyklepione do otaczającego go muru, rośnie kilka pięknych, starych palm daktylowych. Stoją tu też dwa namioty. Jeden zajęli profesorstwo Michałowscy, drugi inż. Ostrasz odstąpił mnie. Namiot jest wygodny o podłodze brezentowej, zszytej ze ścianami. Stanowi to izolację od otoczenia. Ma też okna z przezroczystej masy, zabezpieczone dodatkowo siatką. Zastąpiłem tam posłane łóżko polowe, starą skrzynkę w charakterze nocnej szafki i półeczkę pod sufitem. Na niej zainstalowałem mego kameleona niewątpliwie też zmęczonego podróżą. Odrazu poczuł się lepiej, bo zmienił barwę z szarobrazowej na szmaragdowozieloną. Inne mniejsze namioty Misji stoją w owych przylegających do muru izbach, które nie posiadają żadnego dachu, a tylko luźno rzucone na poprzecznie ułożone gałęzie, wiązki suszonej halfy (ostrej wysokiej trawy). Nie ulega wątpliwości, że jest to droga, jaką do wnętrza takiej izby przedostają się wszelkie owady, pająki i skorpiony, na które czatują już duże gekony, jaszczurki wydające charakterystyczny skrzekliwy głos.

Mój namiot — jako stojący wolno — jest bardziej przewiewny, ale też od rana nagrzewa się niemiłosiernie i w ciągu dnia nie sposób tam się schronić. Obszerne pomieszczenie bezpośrednio pod murkiem i z prowizorycznym daszkiem zajmuje pracownia ze stolikami, a nawet z maszyną do pisania i podręczną biblioteczką. Jest także pokój stołowy, no i zaplecze gospodarcze z kuchnią i spiżarnią. Tak wygląda nasza baza, wygodna i stanowiąca solidne oparcie dla całej Misji. Tu wypoczywa się wieczorem na podwórku, na które wystawia się pod palmami leżaki. Nasz czarny Hussejn zapala wtedy duże lampy benzynowe, tzw. kluby, które rano trzeba starannie czyścić. Klęską są tylko chmury komarów.

Wspaniale prezentują się wykopaliska.

Profesor Michałowski po wnikliwych studiach i penetracji terenu wybrał właśnie Faras. To nie żaden przypadek, że zaczęliśmy tu kopać. To rezultat wiedzy, doświadczenia i pracy Profesora.

Wielkie wzgórze nad brzegiem Nilu z ruinami cytadeli arabskiej z okresu walk Mahdiego kryło prawdziwe skarby. W tym roku już odsłonięty jest klasztor, tzw. pałac i katedra z przepięknymi malowidłami al fresco. Prof. Michałowski poszukuje jeszcze świątyni staroegipskiej, której bloki zostały wykorzystane wtórnie przy budowie katedry. Nie wykluczone, że ten obiekt znalazł się pod wodą przed kilkudziesięciu laty, gdy zbudowano w Asuanie pierwszą tamę. Obecnie budowana wielka zapora wodna za parę lat zaleje Faras i cały ten obszar pustyni, ciągnący się aż do różowych gór na horyzoncie. Zginą skarby i te odkryte, a przede wszystkim nie odkryte, których tu pełno. Dlatego trzeba się śpieszyć. Wracam ciągle do tego tematu, ale tu jesteśmy pod stałym wrażeniem i presją nadciągającego potopu. Trudno o tym nie myśleć, trudno nie pisać.

Praca zaczyna się o 6 rano. Dziś chciałem być pierwszy. Wstałem więc o 5-tej, gdy było jeszcze mroczno i chłodno. Dopiero zaczynały swój poranny śpiew ptaki, lecz gdy doszedłem do Komu prof. Michałowski był już na stanowisku.

„Dzień dobry, profesorze — powitał mnie. — Jak się panu spało? Trzeba dziś jeszcze zabrać się za eksplorację grobów. Pracy będzie pan miał tu dużo”. Robotnicy małymi motykami zgarniali piach do płaskich koszyków plecionych ze skreconych palmowych liści, po czym posuwając się gęsiego w długim powolnym korowodzie, wyrzucali ten urobek wprost do Nilu. Na niedawno odkrytym murku stał rais — dozorca z długim kijem, obok niego jego pomocnik śpiewający gardłowym głosem jakąś monotonna i powtarzającą się strofę, w której słowa „Allach, Allach” były rytmicznie powtarzane przez wszystkich pracujących. Ten zawoźdzący korowód postaci w długich galabijach, z koszami na ramionach, wyglądał dość niesamowicie. Wszystko przy tym odbywało się w jakimś zwolnionym, sennym rytmie, ale bez przestojów i przerw. Tu każdy krok jest wyliczony, tu nie wolno się śpieszyć. Do koszy nabiera się też niewiele piasku czy gruzu. Tu nie można się przemęczać... Zresztą rais co jakiś czas pogania swym kijem zbyt opieszających. Robi to jednak teatralnie, z uśmiechem. Trochę po to, aby pokazać nam, jak się stara i jak dba o nasze interesy. Robotnicy są tutejsi, czarni, smukli na cienkich nogach, w białych, teraz dość brudnych galabijach, w wielkich zawożach na głowie. Piasek sypie im się na ramiona i za kołnierz. Te koszyki są płaskie, niezbyt poręczne. Tu jednak koparka zrobiłaby całodzienną robotę tych ludzi w dwie godziny, ale przecież to jest archeologia. Trzeba **ODKRYWAĆ** głębsze warstwy, a nie tylko usuwać ziemię. Jedno uderzenie może odsłonić coś nowego, bo z tych zwałów obsypującego się piasku wyłaniają się prawdziwe cuda.

Cud z Faras — „das Wunder aus Faras”. Tak nazwano to wielkie polskie odkrycie Kazimierza Michałowskiego.

Na ścianie katedry są wmurowane stele nagrobne, informujące, że w tym miejscu spoczywają biskupi Pachoras (starożytna nazwa Faras): Kyrilos, Aron i Stephanos. Napisy są trochę kulfoniaste, ale wyryte starannie w marmurze w języku greckim (jedna stela jest z czerwonego piaskowca). Tuż pod nimi wystaje z piasku szeroki, prymitywnie otynkowany nagrobek. Pozostały w nim otwory po tkwiących tu niewątpliwie krzyżach. Rzecz ciekawa, że tu właśnie znajdowało się wejście do świątyni, potem, zamurowane. Widać jeszcze nadproże i kamienne fragmenty. Stele zostały wmurowane na miejscu dawnych drzwi. Może to ma jakąś wymowę symboliczną?

Zostaję sam z trzema robotnikami. Mam ostrożnie zdemontować nagrobki i dostać się do wnętrza grobów. Co kryją? Czy zachowały się tam

jakieś szczątki pochowanych tu biskupów? Nienaruszony nagrobek raczej świadczyłby o tym?

Zrobiło się gorąco. Z daleka montonnie pohukuje dudek. Z wioski dochodzi ostre skrzywienie sakii, wyciągającej wodę na wyższy poziom do rowków nawadniających maleńkie, uprawne poletka.

Zabieram się rażno do pracy. Nie może tu być mowy o zwykłej, obowiązującej dokumentacji archeologicznej, starannych rysunkach każdej warstwy, profilach, pomiarach i opisach. Tu trzeba się śpieszyć. Co się da, należy sfotografować i trzeba ryc głębiej, bo czas nagli. W takich okolicznościach należy zmienić metodę badawczą. Ten teren i ta sytuacja wymaga innej taktyki. Jak na polu bitwy taktyka bojowa zmienia się w zależności od liczebności sił wroga, własnych możliwości, ukształtowania terenu, tak i tu nie można działać według ustalonych stereotypów. Całą robotę trzeba będzie skończyć w określonym terminie. Nic nie wstrzyma napierających wód sztucznego jeziora. Przy tym — a z tym my musimy się bardzo liczyć — nasze możliwości finansowe są małe ... Wiadomo jednak, że gdy będzie trzeba, „zaciśnie się pasa”, ale robota musi się zmieścić w ustalonych granicach finansowych choćby trzeba było zrobić dwa razy więcej niż zaplanowano. To jest ta „wielka improvizacja” prof. Michałowskiego. W inny sposób nie zrobilibyśmy NIC, bo to, co robimy, jest porywaniem się z młotyką na słońce; ale nasze motyki są dalekosiężne, a słońce znów nie tak wysoko, przy tym Polacy wierzą w cuda ... Ta wiara dokonała nieraz wielkich rzeczy.

„Das Wunder aus Faras”. Tak, to bardzo trafne określenie, zresztą nie przez nas wymyślone, a potem lansowane przez światową prasę po zakończeniu kampanii ratowniczej UNESCO w Nublii.

Robotnicy zrywają tynk z mastaby. Pod spodem znajduje się warstwa wypalonych cegieł. Niektóre dość ciekawe: płaskie i trójkątne, tzn. „posadzkowe”. Pod nimi zwykle cegły prasowane, z mułu nilowego — nie wypalane. Te ostatnie tworzą najgrubszą, prawie półmetrową warstwę. Wreszcie ukazuje się wewnątrz tynkowana, częściowo zawalona krypta. Zaglądam do środka. Jej sklepienie zawaliło się i cały środek grobu jest wypełniony ziemią i piaskiem, które tam później się dostały. — Już zdawało się, że w grobie nic nie znajdziemy, gdyż ta sypka warstwa schodziła dość głęboko. Wreszcie jednak pokazały się resztki ceramiki, a pod nimi zarysowały się dwa szkielety. Powinny należeć do dwóch biskupów, którzy według steli zmarli w odstępnie około pięćdziesięciu lat. Tymczasem po odsłonięciu i oczyszczeniu kości okazało się, że oba szkielety spoczywają w tej samej warstwie. Głowy ich są zbliżone, szyje wykręcone, a ramię leżącego z lewej strony spoczywa na obojczyku i ramieniu sąsiada z prawej. Ten lewy, leżący jakby w uścisku — a w każdym razie w zbliżeniu — prawego jest budowy drobnej i na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie kobiety. Kości obu zmarłych okazały się zupełnie kruche,

dosłownie rozpadające się nawet pod dotknięciem delikatnego pędzelka używanego do czyszczenia szkieletów in situ.

W międzyczasie zerwał się wiatr, który nawiewa mi w oczy całe masy drobnego, pustynnego piasku. Gdy zeszedłem do wykopanej jamy, aby zabezpieczyć kości, całe tumany piasku zaczęły mnie dosłownie zasypywać. Właśnie ten wiejący tu często zachodnio-północny wiatr tak szybko przykrył — a więc i ocalił — monumentalne budowle, chroniąc bezcenne zabytki i freski oraz inne obiekty przed zagładą.

W czasie przerwy obiadowej zostawiłem na miejscu robotnika — Ibrahima i posiliwszy się pośpiesznie, wróciłem, aby kontynuować robotę. W międzyczasie wiatr zmniejszył się, tak że można było dokonać fotografii i niezbędnych pomiarów kości.

Jak można wytłumaczyć to bliskie sąsiedztwo zwłok dwóch dostojników pochowanych w różnym czasie? Po długiej dyskusji z prof. Michałowskim doszliśmy do następujących wniosków: Biskup Kolutes zmarł w 923 roku naszej ery. Dzięki właściwościom tutejszego klimatu zwłoki te uległy naturalnej mumifikacji. Krypta była dość obszerna, więc gdy w 50 lat później — w 973 r. — zmarł biskup Aron, zwłoki jego zostały pochowane w tej samej krypcie. „Dołożono” je poprostu do spoczywającego tam Kolutesa. I te zwłoki zmumifikowały się i spoczywały tak przez wiele stuleci. Później jednak nastąpiło podniesienie wody w Nilu. Wilgoć zaczęła przenikać nie tylko do fundamentów świątyni, ale i do grobów. Części zmumifikowane rozłożyły się. Uległy w jednym czasie tym samym procesom. Pozostały tylko kości. Tym też można tłumaczyć brak w grobach jakiegokolwiek inwentarza, resztek całunów pośmiertnych, którymi zawsze owijano zmarłych przed złożeniem ich do grobu. W warstwach ziemi otaczającej szkielety znalazłem tylko małą lampkę oliwną i resztki drewna, być może pozostałości drewnianego krzyża lub pastorału? Ewangeliczna skromność nakazywała chować zmarłych bez jakiegokolwiek przepychu. Obaj biskupi zostali pochowani w miejscu schodów, na wprost zamurowanych (prawdopodobnie przy okazji budowy ich grobów) drzwi. Części tych schodów pozostawiono pod wymurowanym nagrobkiem. To także wyraz skromności. Pochowano ich tam, gdzie wierni wchodzili do świątyni, na wydeptanym szlaku.

Pozostała mi jeszcze żmudna praca eksploracji kości. Trzeba było to robić z wielką ostrożnością i uwagą.

Po kolacji zasiedliśmy na naszym dziedzińcu na leżakach. Gdyby nie dokuczliwe komary, byłoby cudownie. Przyjemny chłód nocy, nad głowami wygwieżdżone niebo, a tuż obok jaskrawo świecące lampy. Do tego światła ściągały roje owadów. W pewnym momencie nadleciał, głośno brzęcząc, wielki skarabeusz. Złapałem go, oczywiście, z przeznaczeniem do mej kolekcji. Jest to wyjątkowo piękny okaz.

Następne dni poświęciłem na dokładne przekopanie okolicy grobu

i przystąpiliśmy do odkopywania szczątków trzeciego biskupa — Stephanosa. Trzeba to było robić bardzo ostrożnie. Robotnicy zdarli pokrywę z cegieł potem warstwę przykrywającą bezpośrednio sklepienie i znów ukazał się grób pełen ziemi i jakby wilgotnego piasku, co może wydawać się paradoksem, gdyż w tym rejonie deszcze zdarzają się raz na parę lat. Widocznie to jakieś przesiąkanie wody z pobliskiego rozlewiska nилоwego?

Kości biskupa Stephansona zachowały się w nieco lepszym stanie. Udało się wydobyć prawie całą czaszkę. Potem żmudne przesiewanie piasku, aby ocalić każdą kosteczkę i każdy drobiazg ewentualnego wyposażenia. — W tym wielkim grobie były tylko te trzy szkielety, odpowiadające stelom i umieszczonym na nich napisom. Trzej czcigodni biskupi Pachoras, pochowani tysiąc lat temu. Ich nienaruszone groby i kości przetrwały do dziś, pod wielkim usypiskiem piachu, który uchronił te obiekty przed zniszczeniem. Gdyby nie nasza akcja, uległyby zagładzie w najbliższym czasie.

Wieczorem wybrałem się na spacer. Tuż za wsią rozpoczynało się pismo pustyni porośłe ostrą, zupełnie suchą trawą — halfą. Za tym rozciągał się szpaler wątych tameryszków. Dalej była już pustynia, której granice stanowiły, wielkie wydmy ze sterzcącymi z piasku mizernymi krzakami koleczastych akacji.

Po drodze spotkałem trzy dziewczyny z Faras, które zbierały gałęzie i suche badyle stanowiące tu cenny surowiec na opał. Przywitały się ze mną, z własnej inicjatywy, przyglądając mi się dość kokietyrnie, a potem, gdy się oddaliłem, zaśmiewały się do rozpuku. Wydałem im się niesłychanie zabawny.

Między skupiskiem zarośli i trzcin odkryłem niewielkie, naturalne jeziorko. Gdy doszedłem do jego brzegu, zaczęło się ściemniać. Zatrzymałem się nagle, gdyż z wody dochodził jakiś jęk. Był to pełen skargi i wyrzutu głos ludzki. Nad uchem zabrzczał komar, coś skoczyło do wody. Podeszedłem bliżej, ale nic nie dostrzegłem. Jęk powtórzył się znowu, wyrażając bezbrzeżny żal lub cierpienie. Zapewne wydawała go jakaś zaba, a może wodny ptak?

Całą drogę towarzyszył mi tu pies, który przyplątał się do mnie na skraju wsi. Wynędzniały i bez żadnej indywidualności jak tutejsze psy, ale przyjazny, a nawet łaszący się. Pies też zatrzymał się, przysłuchując się temu niesamowitemu głosowi. Nad czarną powierzchnią wody, zbite w wielką chmurę, tańczyły komary. Nagle pies obejrzał się nerwowo za siebie, a następnie podkuliwszy ogon pomknął w kierunku, skąd przyszliśmy. Spojrzałem: w odległości kilkunastu metrów ode mnie stało jakieś zwierzę, ze spiczastym pyszczkiem i dużymi sterzcącymi uszami. Nogi miało dość krótkie, ale za to duży puszysty ogon i szaropłowe futerko. W pewnej odległości za nim zza krzaka wyglądały dwie podobne głowy,

przyglądając mi się bardzo uważnie. Gdy poruszyłem się, zwierzęta dały nurka w krzaki. Musiały to być pustynne lisy lub szakale. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Uświadomiłem sobie, że trochę za daleko zaszedłem. Przede mną rozpościerała się bezbrzeżna pustynia, ciągnąca się setki kilometrów. Z tej właśnie strony można było spodziewać się wszystkiego ...

Rozpocząłem odwrót. Jeszcze długi czas słyszałem ten przejmujący jęk, powtarzający się w regularnych odstępach czasu. Z daleka było widać blade światelka wioski Faras.

* *
*

Nasze stanowisko budzi szczególne zainteresowanie. Stale przyjeżdżają goście z innych zagranicznych misji archeologicznych. Dziś wizyta prof. Hintze — znanego egiptologa i meroisty z NRD. Jednocześnie zjawiają się przedstawiciele Misji z RFN z drem Englebertem — koptologiem i znawcą wczesnego malarstwa bizantyjskiego na czele. Poza nimi — jacyś Amerykanie. Kłopotliwa sprawa, bo Niemcy z NRD i RFN nie rozmawiają ze sobą. Po prostu zachowują się tak, jakby tych drugich nie było.

Profesorowa Michałowska jest chora. Wysoka temperatura i silny ból głowy. Leczę ją tym, co mam tu do dyspozycji. To przegrzanie, a nawet lekkie porażenie słoneczne.

Poza badaniem grobów biskupów chciałbym pomierzyć naszych robotników, a także zbadać ludność wioski Faras. Jest ku temu szczególny powód: cała ta populacja zostanie stąd przesiedlona daleko na południe, do Kash El Girba. Jak ciekawe mogłyby być badania tej populacji po kilku latach? Jaki będzie wpływ zupełnie nowych warunków ekologicznych na tych ludzi?

Poza tym na terenie koncesji znajdują się ruiny dwóch kościołów oznaczonych (już poprzednio) jako Faras 1 i Faras 2. Kościoły te zostały zbadane na początku XX wieku przez G. S. Mileham'a. Wspomina też o nich w swych raportach F. L. Griffith, który prowadził na tym terenie badania z misją archeologiczną Uniwersytetu Oksfordzkiego (publikowane w Filadelfii w 1910 r.). W rejonie tych kościołów znajdują się rozległe cmentarzyska. Tych obiektów nikt nie badał. Jeśli nie uda mi się spenetrować cmentarzysk, wiadomości o nich przepadną na zawsze. Na razie jednak nie ma o tym mowy. Muszę zabezpieczyć szczątki biskupów. Na miejscu zebrać dane, które pozwolą potem na analizę antropologiczną szkieletów dostojników kościelnych z tamtego okresu.

Jest taki upał, że nie można pracować. Zresztą grzebałem dziś w ziemi cały dzień w bardzo niewygodnej pozycji. Piasek sypał się ze

wszystkich stron, dostając się za kołnierz i drażniąc mokrą od potu skórę. Poza jakimś zapaleniem skóry na szyi, mam już podrażnienie spojówek, ale nie ma na to rady.

Wieczorem idziemy ze Stefanem Jakobielskim do „Hiltonu”. Jest to miejscowa „kawiarnia” — stworzona specjalnie dla naszych robotników. Wysokie, ustawione pionowo maty odgraniczają kawałek gruntu na skraju wioski. Tam pod dachem z trawy, na zaimprovizowanych stolikach ze skrzyń, można wypić wspaniałą kawę, a także jakiś biały, podniecający napój, coś w rodzaju miejscowego bimbrow pędzonego z daktyli. Podobno pali się tu haszysz? To jakiś przedsiębiorczy mieszkaniec Wadi Halfa zorientował się, że jest tu do zrobienia „sezonowy interes”. Na glinianych naprędcie ulepionych paleniskach stoją dwa osmolone czajniki i wesoło huczą prymusy. W tarych blaszanych pudłach oraz w dziwnie koślawych słoikach znajduje się zmielona na drobny puch kawa, granulowana herbata i jakieś tajemnicze zioła. Pachnie tu też kamunem i naftą.

„Hilton” ma powodzenie. Przychodzą nie tylko nasi robotnicy — często przybysze z innych okolic, którzy przywędrowali w celach zarobkowych, ale i mężczyźni z wioski. Przy kawie toczą się zażarte dyskusje na tematy polityczne, religijne, obyczajowe. Omawia się też bieżące plotki i wydarzenia. Jesteśmy tu mile widziani i przyjmowani ze wszelkimi względami. Nasza obecność nie przeszkadza też nikomu.

* * *

Nadal odkopujemy groby biskupów. Eksplorowałem dziś grób nieznanego biskupa, gdyż nie przechowała się żadna stela ani żaden napis, który pomógłby ustalić jego personalia. Być może, że jest to biskup Tamer. To by nawet pasowało. Grób znajduje się w części kościoła, gdzie odbywał się chrzest. Miejsce to zostało odkryte już wcześniej, jest szkielet, zabezpieczony folią, czekał na moje przybycie. Jest mało uszkodzony, a na kościach zachowały się resztki skóry, a nawet niektóre chrząstki. Dokonałem dokładnych pomiarów. Udało mi się także znaleźć pozostałości czarnej materii i strzępek wełny.

Dzisiaj jest piątek czyli dzień świąteczny — goma. Robotnicy nie pracują, w obozie więc nieco zwolnione obroty. Czasem trzeba się zająć sprawami osobistymi, zrobić małe pranie czy napisać listy. Opisuję kości, ale prace przerywają nam nowi goście. Przyjeżdża dr William Adams z żoną i dwójkiem maleńkich dzieci. Jest on szefem Misji UNESCO i pracownikiem Sudańskiego Antiquities Service. Są to Amerykanie. Profesor Michałowski z niewyczerpaną energią pokazuje Adamsowi nasze odkrycie. Ich dzieci — dwóch chłopców o blond włosach — jeden półtora roku, drugi nie więcej niż pół — bawią się grzechnie na rozłożonym na

piasku kocu. Adamsowie nie rozstają się z nimi nigdy i wożą wszędzie ze sobą.

Adams bardzo mnie zachęca do zbadania tych cmentarzysk koło ruin, kościoła północnego i południowego. Byłby to jak mówi „bakszysz” dla Sudanu, bo nie przewidziano penetracji tych stanowisk.

Wieczorem biorę dra Shora i ruszamy razem w kierunku cmentarzysk na pustyni. Shor przyjechał tu aby uczestniczyć w naszych pracach i czegoś się nauczyć. Jest Anglikiem, pracownikiem British Museum. Tak. Dawniej Polacy uważali za wielki zaszczyt, jeśli udało im się dostać na praktykę do jakiejś misji naukowej — brytyjskiej czy francuskiej. Dziś po to samo przyjeżdża się do nas. Shor jest typowym Anglikiem: wysoki szczupły, dobrze wychowany i małomówny, ale zaprzyjaźniliśmy się z nim z mety.

Mijamy pasmo traw i idąc skrótami przedzieramy się wprost przez wydmy, wśród krzaków akacji i nielicznych tamaryszków. Dalej już jest pustynia, skalisto-piaszczysta, bezkresna. Wśród ławic ruchomego piasku widzimy ruiny kościołów: Kościół Północny oznaczony symbolem F1 (o wymiarach 12 × 19 m) oraz leżący w odległości ponad 150 m od niego Kocioł Południowy F2 (13 × 23 m) z kamiennymi, jeszcze dobrze zachowanymi kolumnami. Za kościołami trzy cmentarzyska. Griffith oznaczył je następująco: Nekropola obok Kościoła F1 otrzymała Nr 5, następna przy Kościele F2 — Nr 4. Cmentarz położony na północ otrzymał Nr 6, a znajdujący się obok grobowiec — Nr 7. Zupełnie oddzielnie w rejonie, gdzie zaczynają się groty, ze słynną Grotą Anachorety, miało się znajdować cmentarzysko Nr 8. Crum datował te nekropole na VI względnie VII wiek naszej ery.

Zeszliśmy z Shorem z wydmy i dotarliśmy do najbliższego cmentarzyska. W ciągu wieków wiatr pustynny musiał przesypywać piasek ponad grobami, ale większość z nich była doskonale widoczna. Zachowała się powierzchniowa warstwa nagrobków zbudowana z kamieni i zwiertzalych już, dużych płaskich cegieł zespolonych z tymi kamieniami. Oczywiście jest to stanowisko, które trzeba będzie zbadać. Muszę wygospodarować czas przynajmniej na jakieś badania rekonesansowe. Podjęcie systematycznych prac na tym odcinku byłoby trudne. Cmentarze znajdują się w dość znacznej odległości od naszej bazy — w wiosce Faras. Nie prowadzi do nich żadna droga. Byłby potrzebny dobry wóz terenowy, a my nie mamy żadnego samochodu. Pokonywanie tej drogi pieszo, ze sprzętem technicznym, instrumentami i zapasem wody jest niemożliwe. Niemniej nie wolno tego tak zostawić. Groby te kryją na pewno nie jedną tajemnicę. Wprawdzie trzeba od razu zaznaczyć, że w Faras mamy ważniejsze zadania, obiekty nie tknięte dotąd przez NIKOGO, zabytki odkryte dopiero przez nas i nieznane nauce. To nasze naczelne sprawy. Jednak cmentarzyska dla mnie jako antropologa są obiektem szczególnie ciekawym.

Wracamy z powrotem do Faras. Gdy wdrapaliśmy się na wydmy, — brnąc dosłownie po kolana w bardzo sypkim, miękkim piasku — na sąsiednich pagórkach zauważyliśmy zgrupowania szakali. Stały zresztą nieruchomo z głowami skierowanymi w naszą stronę. Czasem tylko zaświeciły w gęstniejącym mroku ich oczy. Było ich coraz więcej. Jednak gdy zeszlśmy z wydmy na płaszczyznę porośłą trawą, pozostały na górze. Pewnie z żalem spoglądały na potencjalną kolację, która przeszła im koło nosa. Nie wiem, czy w zupełnych ciemnościach nie zdecydowałyby się na zaatakowanie nas?

Pod wioską nad kanałem zdybał nas, zapuszczający się aż tutaj, sudański posterunek graniczny: dwóch czarnych chłopców w krótkich spodenkach ze staromodnymi karabinami na ramieniu, w fantazyjnych kapeluszach z rondem. Przywitani się z nami grzecznie, a nie byli to formalści, gdyż o nic nas nie pytali. Zresztą rozmowa była krótka, ponieważ nie rozumieli ani słowa po angielsku. Rozstaliśmy się więc bardzo przyjaźnie, ściskając ich atramentowo-czarne prawice, z sakramentalnym „Sa-lem aleikum”.

Z daleka było już widać nasze jasno oświetlone podwórze, na którym zapalono właśnie gazolinowe lampy.

Po kolacji i krótkim wypoczynku na leżaku zasiadłem w pracowni, wertując przywiezioną tu podręczną biblioteczkę, stare „Journal of the Sudan Antiquities Service” oraz „Archaeology and Anthropology” (University of Liverpool). Koniecznie chciałem się dowiedzieć czegoś bliższego o tych cmentarzyskach. — Do lampy przylatywało tysiące drobnych muszek, upał był nieznośny mimo nocnej pory. Stwierdziłem, że nie jestem w stanie nic notować, bo mokra spocona ręka przyklepiała się do papieru, który też wkrótce robił się wilgotny.

* * *

Dalsze groby biskupów, dalsze grzebanie się w piasku, który sypie się za koszulę, oblepia i drażni mokre od potu plecy. Na szyi mam małe, b. bolesne i swędzące ranki.

Odkopujemy grób Petrosa. Znajduje się on w oddzielnej kapliczce z kopułką. Aby nie zniszczyć kości, dostajemy się tam od spodu — wykonując podkop. Gdy otwór jest dostatecznie duży, wsuwam się do środka. Wewnątrz jest duszno i wilgotno (jak tu w tej tak suchej atmosferze może utrzymywać się wilgoć?). — Szkielet jest, także wilgotny. Niektóre kości przy najostrożniejszym wyjmowaniu rozpadają się, ale czaszkę wydobywam w całości. Jest dość interesująca. Niewątpliwie należy ona do przedstawiciela odmiany czarnej. Sprawdzam to za pomocą dokładnych pomiarów. Tak, biskup Petros był czarny, należał więc do typu rasowego charakterystycznego dla tutejszej ludności. Pochodził więc stąd! Grób

jest dobrze oznaczony, toteż nie może być chyba wątpliwości, że jest to szkielet biskupa Petrosa? Dzielę się tymi spostrzeżeniami z prof. Michałowskim.

„To chyba niemożliwe” — mówi Profesor. „Pachoras było zależne od centrum religijnego w Aleksandrii. Stamtąd przysyłano tu biskupów. Niech pan to dobrze sprawdzi.”

Nie ma co sprawdzać. Biskup Petros, a raczej szkielet znaleziony w grobie biskupa Petrosa, należy do przedstawiciela odmiany czarnej.

„No tak — mówi prof. Michałowski — jeśli tak jest rzeczywiście, świadczyłoby to, że Pachoras było niezależnym i ważnym ośrodkiem religijnym. Biskupów można więc było mianować spośród miejscowego kleru. To potwierdza moje koncepcje o znaczeniu Pachoras”.

Było to chyba moje „największe” odkrycie w Faras. Wprawdzie określenie typu rasowego na podstawie czaszki nie jest rzeczą trudną. Powinien to zrobić każdy, jako tako obeznany z anatomią odmian ludzkich i podstawami typologii, ale ... zawsze proste spostrzeżenie potraktowane sumiennie, a — co najważniejsze — niesugerowanie się tym, „co musi być”, mogą przynieść nieraz zaskakujące rezultaty.

Odkryty na ścianach katedry w Faras portret biskupa Petrosa potwierdził całkowicie tę moją terenową (błyskawiczną) diagnozę. Portret ten — zdobiący dziś słynną już na cały świat galerię fresków z Faras w Muzeum Narodowym w Warszawie, przedstawia starego człowieka w szatach kapłańskich o zdecydowanie czarnym kolorze skóry i rysach charakterystycznych dla odmiany czarnej typu sudańskiego. Kontrastuje on z białą twarzą protegującego apostoła — św. Piotra — jako patrona. Ręka apostoła spoczywa na ramieniu biskupa.

Ta diagnoza antropologiczna stała się obok listy biskupów, znalezionej i odcyfrowanej na ścianie katedry w Faras, ważnym odkryciem. Pozwoliła ona także stwierdzić, że portrety na freskach — odkrytych przez prof. Kazimierza Michałowskiego — przedstawiają konkretne postacie historyczne i że choć nie wszystkie były zapewne malowane z natury, odtwarzają one realistycznie podobieństwo tych postaci. Było to o tyle ważne, że umieszczane także na portretach postacie świętych, Matki Boskiej i Jezusa nadawały im jakiegoś charakteru mistycznego, a nawet fantastycznego. Porównanie szkieletu Petrosa z jego uduchowionym i ozdobionym tymi boskimi elementami portretem pozwoliło bez wątplenia stwierdzić, że był to rzeczywisty wizerunek zmarłego w 999 roku Petrosa.

Wieczorem przybyło mnóstwo chorych. Siedzą cierpliwie przed wejściem na nasze podwórze. Czekają — czasem oczekują cudu! Jakiś młody mężczyzna, który stracił w wypadku prawą dłoń, zapytuje, czy nie można by czegoś zrobić, aby mu dłoń przywrócić? Ale są też przypadki, w jakich można ludziom pomóc. Pomagam więc w asyście Stefana Jakobiela.

skiego, który — choć nie jest jak ja lekarzem — zażywa tu sławy znakomitego medicusa. Rozdziela proszki, robi opatrunki, a nawet zastrzyki. Wiedza lekarska Stefana pochodzi stąd, że ma żonę — doświadczoną pielęgniarkę. Często, na co dzień, styka się z koniecznością doraźnej interwencji, a to dużo. Zresztą tu nawet zdrowy rozsądek może pomóc ludziom, a nie tylko wiedza lekarska.

Jesteśmy już zmęczeni. Po zabezpieczeniu szczątków Petrosa przeprowadziłem badania i pomiary naszych robotników. W tym także pomagał mi Stefan, znający biegle język nubijski, którym posługują się tutejsi ludzie. To ułatwiało znacznie kontakty.

* *
*

Jest gorąco. Czasem trudno wytrzymać. W czasie pracy otrzymujemy czarną kawę i napoje chłodzące, które dostarcza się na nasze stanowiska w termosach. Ja co rusz jestem odrywany od pracy, gdyż miejscowi robotnicy równie źle znoszą upał. Często są krwotoki z nosa, które trudno jest zatamować. Mnie znów dolegają rany na karku i plecach oraz uczulenie na ukąszenia maleńkich muszek — namitów. Wgryzają się one w delikatną skórę za uszami i na powiekach. W tych miejscach powstają potem bolesne obrzęki. Dokuczają nam także komary. Trzeba spać pod zaimprovizowanymi moskitierami, a to tylko utrudnia dopływ powietrza.

Na wykop przybyła wycieczka dzieci szkolnych z jakiejś pobliskiej wioski. Dzieci są miłe, ruchliwe, ubrane schludnie w kolorowe ubranka. Dziewczynki — obwieszane jakimiś ozdobami z licznymi ciasno zaplecionymi warkoczykami na główkach. Największą sensacją są dla nich nie wykopaliska, ale my! Pani Krystyna Michałowska, która robi dokumentację rysunków na ścianie katedry i przypadkowo ja — zostajemy dosłownie oblężeni przez tłum dzieci. Oglądają nas dokładnie, rozbawione błądząco naszymi twarzami, ale w końcu — gdy badając nasze białe ręce zaczynają nas szczypać i szarpać — przerywamy tę zabawę.

Przed wieczorem zrywa się silny wiatr. Rozpędza wprawdzie namity i komary, ale niesie z pustyni gorący powiew wraz z tumanami pyłu. W pracowni zasypuje wszystko, szarpie papierami leżącymi na stołach pod przyciskiem. Na ścianie przyczaił się wielki gekon. (Są one tu 4—5 razy większe niż te spotykane w Dolnym Egipcie). Siedzi nieruchomo i czeka na jakąś ofiarę, ale dziś polowanie będzie skromne. Nie ma much i komarów. Wiatr szarpie też płótno mego namiotu, w podmuchach jest bardzo gwałtowny. Nad głową słychać chrzęst liści palm, rosnących na środku podwórza. Jeszcze jest jasno, więc idę do naszej katedry poczynić badania fresków. Sprawa Petrosa nasunęła mi myśl, aby zająć się typologią tych postaci na portretach. W kościele jest spokojniej, wiatr przechodzi ponad murami, choć i tu powstały od razu, przy otworach okien-

nych, zaspły. Ale to ten wiatr ocalił katedrę i skarby sprzed tysiąca lat.

Do domu wracam już po ciemku. Wiatr uspokoił się. Przed wejściem znów gromada czarnych, milczących postaci. To kobiety z chorymi dziećmi. Są cierpliwe i nieśmiałe. Nie nagabują mnie. Gdybym ich nie zaprosił do środka, same nie weszłyby. Małeństwo z ciężką pneumonią, któremu wczoraj dałem zastrzyk z penicyliny, czuje się doskonale. Dziś więc przyniesiono masę innych dzieci. Nie wszystkim można pomóc. Mamy trochę lekarstw na własny użytek, a ja tu jestem okresowo. Jednak muszę ludziom udzielić pomocy, jeśli to tylko jest możliwe.

* *
*
* *

Pół obozu ma ciężką biegunkę. Tu nigdy nie wiadomo, co zaszkodzi? Lekarstw przeciwbiegunkowych nie mamy.

Gdy rano, chcąc się udać po wodę do mycia, wziąłem z gwoźdźcia mój ręcznik, wyskoczył z niego wielki skorpion. Swoją drogą, jak się takie „zwierzę” dostało do szczelnie zamkniętego namiotu? Wiele lat później, będąc w południowej Afryce w Malawi, przed pójściem spać dokładnie sprawdziłem swój pokój w bardzo szczelnym baraku z blachy. Jakie było moje zdziwienie, gdy rano, słysząc szelest pod łóżkiem, zauważyłem tam olbrzymią żabę.

Skorpion bardzo szybko, z podniesionym do góry odwłokiem — na którego końcu znajduje się ostry kolec i gruczoł jadowy — usiłował wbiec pod moje łóżko. Zobaczył to człowiek sprzątający podwórko i podniósł alarm. Zbiegli się służący, usiłując uśmiercić intruza. Ja natomiast chciałem go ocalić. Złapałem blaszany kubek i usiłowałem nakryć nim bardzo podrażnionego stawonoga. Ludzie nie wiedzieli, o co mi chodzi i w pewnym momencie potrącony przez nich przewróciłem się. Skorpion przebiegł mi przez rękę. W ostatniej chwili udało mi się przykryć go kubkiem. Następnie z zachowaniem wszelkich ostrożności przenieśli go do słoika. Był to egzemplarz mający około 15 cm długości. Zatrąłem go i do dziś stanowi ozdobę mej kolekcji owadów.

Jednak jest to ostrzeżenie. Upał zwiększa się i z różnych dziur zaczynają wylazić różne niebezpieczne stwory. W katedrze i na terenie wykopalisk widziano już węże. Mój skorpion musiał się dostać na podwórko przez mur, a potem przecisnąć się przez zasnurowane ciasno drzwi namiotu. A może wtargnął tam w ciągu dnia, a w nocy ukrył się w wilgotnym ręczniku?

Skończyłem dziś eksplorację trzech dalszych grobów biskupich. Wygląda na to, że nie tylko Petros był czarny, ale to udowodnię później. Poza tym przeprowadziłem badania typologiczne postaci przedstawionych na wszystkich, dotąd odkrytych freskach. Można je z grubsza podzielić na trzy grupy: pierwsza to wyobrażenia aniołów, ujętych z fan-

tazją i przedstawiających dużą różnorodność, z zachowaniem „anielskiej hierarchii” (np. Michał Archanioł ma zawsze na swych skrzydłach motyw pawich piór). Są też atramentowo-czarne diabły.

Druga grupa — to postacie świętych pańskich, Matki Boskiej i Jezusa. Ich twarze są zawsze białe, mają też europeidalne rysy twarzy. Wreszcie trzeci rodzaj — to wyobrażenia konkretnych postaci historycznych: biskupów, książąt i królów nubijskich. Jak wynika z konfrontacji z materiałem szkieletowym, ta trzecia grupa to portrety. Może nawet robione z natury?

Anioły, święci, protektorzy — to tylko ozdoby, dodatki do właściwego portretu. Że tak jest, świadczy pewien schematyzm tych „ozdobników”, przy bardzo realistycznym ujęciu samego portretu.

Wykopaliska przynoszą codziennie nowe rewelacje. Profesor Kazimierz Michałowski „trafił w dziesiątkę”. Faras stało się sensacją międzynarodową wszystkich misji pracujących tu pod auspicjami UNESCO. Ale to żaden przypadek ani „los szczęścia”. Jest to wyłącznie rezultat wiedzy i ogromnego doświadczenia Profesora, który przed wyborem Faras przeprowadził dokładne studia materiałów. Profesor Michałowski wiedział, czego można się spodziewać w Faras. Oto podstawowa recepta na sukces naukowy. Bez przygotowania, wiedzy i doświadczenia bardzo rzadko go się osiąga.

Siedzę w pracowni, jest już późno. Upał nieznośny. Koło lampy, jak zwykle, krąży cały rój muszek, komarów i ciem. Tworzą wianuszek wokół rozpalonego klosza. Lampa powiększa to gorąco: wydaje się, że ze zdwojoną siłą promieniuje ciepło. Wycieram mokre ręce szmatką, leżącą koło mnie. Jestem cały mokry. Koszula przylepiła mi się do pleców. Na zewnątrz jest absolutna cisza. Nawet nie szeleszczą liście palm, reagujące na najłżejszy powiew. Nie słychać ujadających zwykle w wiosce psów. Tylko tu szumi lampa i bzykają owady zwabione jej światłem. Często jest to głos bólu i śmierci. O przypiętą na ścianie mapę tłucze się jakiś żuk. Jest to jakby odgłos werbla w pianissimo.

Mimowoli zwracam głowę w lewo. Coś mnie do tego zmusza. W odległości kilkunastu centymetrów ode mnie siedzi na ścianie pająk. Olbrzymi. Sam jego odwłok jest wielkości dłoni. Nieruchomieję. Obserwuję różowe ciało porośłe rzadkimi włosami, spłaszczony tułów z delikatnym wzorkiem i stosunkowo niezbyt długie odnóża. Trwa to kilka długich sekund. Moje małe poruszenie i pająk daje nura w dół. Znika. Biegnę do apteczki i wyciągam gumowe rękawiczki, łapię też moją szmatę do wycierania rąk. Obudzony mym nerwowym krzątaniem pan Józef Gazy pyta sennie, co się stało? Za chwilę jest już w pracowni. Odsuwamy delikatnie stolik i skrzynkę, na której stoi maszyna do pisania. — Jest! Siedzi nisko na ścianie, tuż przy podłodze. Przysuwam się wolno, a potem ręką owiniętą w gałgan usiłuję „pacnąć” to monstrum. Popelniam

jednak błąd: w momencie uderzenia myśle o tym, żeby pająka nie uszkodzić, a tylko przycisnąć do ściany. Ten ułamek sekundy mego wahania wystarczy. Pająk jest szybszy. Wyskakuje spod szmaty i już nie wiadomo gdzie jest? Stoimy z panem Józefem zdenerwowani i bezradni. Jak mogłem chybić? Nie wolno było chybić! Pająk jest zapewne jadowity. Ukrył się w naszym pomieszczeniu, stanowi niebezpieczeństwo, prawdziwe zagrożenie. Praktycznie nie wolno teraz kłaść się spać...

Poszukiwania trwały do świtu. Przewróciliśmy do góry nogami całą pracownię i sąsiedni magazyn. Przesunęliśmy wszystkie książki i papiery, bańki z benzyną, kartony z konserwami, sprzęt techniczny. Pająk zniknął jak kamfora.

* *
*

Upał zwiększa się. Rejon ten stanowi jedno z najgorętszych miejsc na świecie. Nawet na Równiku nie bywa tak gorąco jak tutaj. Biegun gorąca jest właśnie w Wadi Halfa.

Wydobyłem już szczątki biskupów Matheosa i Ignatiosa. Obok grobu Ignatiosa w ścianie tkwiła ozdobna stela. Był on pochowany w sklepionym grobie, do którego trzeba było wykonać głęboki wkop obok. Z tak wygrzebanego szybu należało przeprowadzić przejście do komory grobowej. Przez ten otwór przecisnąłem się do jego wnętrza. Było tam duszno i gorąco. Musiałem wycofać się natychmiast, bo zdawało mi się, że się uduszę. Dopiero za drugim podejściem wyciągnąłem czaszkę. Pozostałe kości wydobyl już Abdel Rachim.

Dni mijają i ucieka bezcenny czas. Muszę dostać się do tych cmentarzy i dokonać tam badań rekonesansowych. Niestety nie mogę nikogo namówić na tę wyprawę. Wszyscy są tu zajęci i mają bardzo konkretne zadania. Wreszcie decyduje się na to redaktor Kazimierz Dziewanowski, który właśnie przyjechał na nasze wykopaliska. Trzecim jest nasz sudański współpracownik — Abdel Rachim i czarny robotnik, który niesie część niezbędnego sprzętu. Słońce świeci prostopadle, ale nie można tam się wybrać wieczorem, bo nic nie zdążymy zrobić.

Znajomym szlakiem, bo przez wydmy, docieramy do ruin kościołów, a potem na nekropole.

Groby wyraźnie odznaczają się. Jest ich kilkaset. Ich nasypy są regularnie usytuowane według osi wschód-zachód. Przystępuję do rozkopywania pierwszego z brzegu. Pod warstwą kamieni i cegieł zarysowuje się regularny nagrobek o wymiarach $1 \times 1,8$ m, zbudowany z dużych płaskich cegieł z wypalanej gliny. W grobie znajdujemy duże fragmenty cylindrycznych naczyń z czerwonej, doskonale wypalanej gliny, z poprzecznym rowkowaniem. Rzecz zadziwiająca: te właśnie naczynia widziałem w wiosce Faras. Są one w dość powszechnym użyciu. Trzyma się w nich zwykle ziarno. Ponieważ dno tych naczyń jest stożkowate, stawia się je

w kącie izby, wygrzebuje w ziemi mały dołek. Okazuje się, że naczynia te zostały tutaj odkopane? Sprzęt sprzed tysiąca lat, ukryty w ziemi znów znalazł praktyczne zastosowanie, powrócił do służby człowiekowi.

W grobie są też jakieś muszle i pojedyncze kości ludzkie. W następnych grobach znajdują tylko resztki tej ceramiki. Część mogił była już przedtem rozgrzebana. Może właśnie w poszukiwaniu sprzętów, które dziś mogłyby być użyteczne? Potrzeba stwarza inwencję.

W Deir el Bahari wdziałem w jednej z lepianek strop zbudowany z ludzkich mumii. Po prostu z braku bardzo cennego tam drewna wyschłe mumie podtrzymywały sufit. Mumie ludzkie stanowiły też czasem materiał opałowy. Przecież tyle jest ich dziś jeszcze w egipskiej wiosce Qurna, znajdującej się na obszarze starożytnych Teb. Cmentarzyska — położone na terenie polskiej koncesji — zasługują na systematyczne badania, to już przedyskutowaliśmy nawet z Bilem Adamsem. Potrzeba jednak ludzi, dodatkowego sprzętu i najcenniejszej tu rzeczy: czasu. Czy starczy go nam?

Grzebaliśmy w grobach do zachodu słońca. Potem zrobiło się nieprzyjemnie wśród tych zniszczonych przez czas pagórków grobowych, stanowiących jedną całość z krajobrazem ponurym i martwym. A przecież kiedyś tu właśnie, gdy były czynne kościoły, istniało jakieś życie, kręcili się ludzie? Tu na tych cmentarzach, zbudowanych przecież rękami żywych, następował też kres tego życia. I co z tego pozostało?

Profesor Michałowski znalazł pod głównym ołtarzem katedry (trzeba było go też rozebrać, bo tu nic nie zostanie) skrytkę w której zdeponowano kiedyś skorupki strusich jaj, resztki szklanej buteleczki i „prześlik” z wypalanej gliny; poza tym dwie kostki. Może to były jakieś relikwie? Przedmioty kultu, pozostałości po kimś? W katedrze znajdują się sprzęty doskonale zachowane, jak np. wspaniały kielich mszalny z kolorowej masy szklanej. Wszystko są to naprawdę bezcenne skarby, które wzbogacają wiedzę o życiu w tamym okresie.

Znów wizyta: przyjechała Misja Amerykańska pod kierownictwem młodego archeologa — dra Milleta. Są tam nie tylko „uczeni”, ale towarzystwo dość mieszane. Dwie młode panie, dziewczyna z Jamajki, która odbywa studia w Niemczech, studenci medycyny z Goteborga — doraźnie zajmujący się znaleziskami kości, jacyś Szwajcarzy i Egipcjanie. Całe to towarzystwo robi wrażenie nie misji naukowej, ale przypadkowo zebranej grupy, która wyruszyła do Afryki, aby uczestniczyć w safari. Na pewno trochę tak jest, ale też — jak dotąd — nie zrobiła ona ani nie znalazła niczego specjalnego.

Przyjmujemy gości kawą i kielichem „żubrówki” (z prywatnych zapasów p. Michałowskich), ale nie bardzo mamy czas na zajęcie się nimi. Są też trochę zdziwieni, że u nas „tak bez przerwy” się pracuje? Odjeżdżają rozbawieni i rozkrzyczani. Przy ładowaniu się na łodzie okazuje

się, że jedna z motorówek nie chce „zaskoczyć”. Jakobielski wchodzi po kolana w wodę i coś tam — świecąc ręczną latarką — majstruje. Na Nilu mała fala. W motorku zaczyna pykać i prychać. Amerykanie odjeżdżają śpiewając głośno.

Odwiedzają nas też dygnitarze sudańscy. Przybywają na osłach pod wielkimi białymi parasolami. Parasol po arabsku nazywa się szamsyja; szams znaczy słońce — jest to więc ochraniacz przed słońcem, w dosłownym tłumaczeniu „słonecznik”. Tu przecież deszcz nie pada, a rola parasola jest akurat odwrotna niż u nas, choć i u nas są w użyciu parasolki słoneczne, ale nie takie wielkie jak tu.

Znów jest wieczór. Po ścianach uwijają się gekony, kłaskając i sympatycznie skrzecząc. Jestem zmęczony. Idę więc do namiotu spać, bo jest późno, a jutro jak zwykle praca zaczyna się punktualnie o szóstej. Pod tym względem panuje u nas rygor; i słusznie, bo bez przymusu człowiek nie wygrzebałby się z obozu przed południem.

Mam tu jeszcze sporo do zrobienia. Pod schodami w kościele znaleziono gliniane garnki z kośćmi noworodków. Muszę skończyć badania miejscowej ludności i mam wielką ochotę na przewertowanie ksiąg szpitalnych w Wadi Halfa. Rejon Faras podlega mu.

Czuję się dość kiepsko: jakieś bóle serca w nocy i to zmęczenie, ale upały bardzo nam dokuczają, no i (jak zwykle) zakreśliłem sobie zbyt szeroki program. Zasypiam.

* *
*

Ktoś mnie potrąca. W słabym świetle latarki rozpoznaję Stefana.

„Panie profesorze jakiś wypadek we wsi, przybiegł człowiek prosząc, aby zaraz tam iść. Zabieram torbę z lekarstwami i pędzę”.

„Ale co się stało?” — pytam.

„Nie wiem. Człowiek się trzęsie, jest zdenerwowany i nic nie można się od niego dowiedzieć”.

Leżę, jest mi niedobrze. Okazuje się, że zasnąłem 20 minut temu. Trudno mi wstać. We wsi intensywnie ujadają psy. Może Stefan sam sobie da radę?

Odczekuję, dochodząc powoli do siebie. Tak czy inaczej trzeba się ubierać.

Wstaję. Słysząc jakieś kroki. To ten sam człowiek z lampą naftową w ręku. Podaje mi kartkę nagryzmołoną przez Stefana. „Człowiek ciężko poparzony, częściowo spalony. Co robić? Czy dać mu lobelinę?”

Nakładam wiatrówkę, biorę torbę, strzykawkę i to, co u nas jest. Na podwórzu czeka także stary rais. Ruszamy w ciemność. Jest jakby nieco chłodniej. Niebo wyiskrzzone gwiazdami. Z boku wążutki sierp księżycy, stojący tu zupełnie poziomo. Mijamy nasz kom i teren wyko-

palisk, wchodzimy na piaszczystą drogę wiodącą do wsi. Rais i mój przewodnik idą obok w milczeniu. Lampa nie jest w stanie przebić ciemności. Potykam się o jakieś kamienie. Wreszcie wioska. Do nóg przypada nam kilka psów, ale tylko się łaszą i płaczą pod nogami. Tu i ówdzie słabe światełka.

Z daleka dochodzi jakiś zbiorowy jęk, a potem głuchy pomruk. Skręcamy z drogi w prawo i wchodzimy w tłum ludzi. Przy wejściu do jednej z chat stoi gromada czarno ubranych kobiet, które zawodząc recytują coś w rodzaju litanii. Jedna z nich wykrzykuje gardłowym głosem jakieś zdanie, a tłum mruczy arabskie: „zmiłuj się nad nami”.

Przepycham się do wnętrza chaty, zresztą ludzie rozstępują się ze słowami: „hałaga, hałaga — kłois”.

W ciasnej izbie na macie, rozłożonej na ziemi, obok strzępków spalonej koldry leży młody mężczyzna. Jego obie ręce i nogi są podtrzymywane przez cztery kucające kobiety. Całe ciało, obrzękła twarz — przedstawiają straszny widok. Skóra pokryta jest płatkami pomarszczonego czarnego (już z natury rzeczy) naskórka, pod którym widać czerwone, krwawiące miejsca. Na pierwszy rzut oka oceniam, że sprawa jest zupełnie beznadziejna. Oparzenie II i III stopnia, obejmujące chyba ponad 80% powierzchni ciała? W kącie stoi żona nieszczęśliwca głośno zawodząc, wokół kilku bardzo wystraszonych krewnych. Kilka par czarnych oczu zwraca się w mój kierunku. Jest w nich niesamowity blask, rozpacz, ale i nadzieja.

Nad chorym pochylony Stefan Jakobielski posypuje najbardziej uszkodzone miejsca zasypką sulfonamidową.

„Potrzebna jest natychmiastowa pomoc. Po Nilu krążą wojskowe łodzie patrolowe. Może można taką łódź zatrzymać i przetransportować chorego do szpitala w Wadi Halfa?”

„O tej porze jest to niemożliwe” — wyjaśnia rais.

„Teraz łodzie nie patrolują rzeki, a poza tym... czy zechcą zabrać zwykłego mieszkańca wioski?”

„Co tu się stało?” — pytam.

„Ano nic specjalnego. Po prostu wyrócił się prymus, nafta rozlała się na koldrę”

Facet musiał być pijany, bo trudno sobie inaczej wyobrazić tak rozległe oparzenia. A może oblał się w jakiś sposób naftą? Może to jakieś osobiste porachunki? — Nie ma to zresztą żadnego znaczenia, a prawdy i tak nie dowiemy się.

Zarządzam usunięcie ludzi z izby, aby chory miał trochę więcej powietrza. Ma to ten skutek, że dwóch chłopców wskakuje na dach lepianki i zaczyna zrzucać leżącą tam trawę. W izbie robi się ciemno od tumanów kurzu i piasku sypiącego się z góry. — Osłaniamy chorego. Potem staramy się zrobić jakąś toaletę najbardziej uszkodzonych miejsc. Daje-

my środki uspokajające, zastrzyk z lobeliny, leki nasercowe i przeciwbólowe

Chory jęczy cicho, ale jest przytomny. Sam łyka pastylki i pije podane mu krople.

Wychodzę na zewnątrz i tłumaczę komuś z rodziny, że trzeba go jak najprędzej odstawić do szpitala. Mustaszfa w Wadi Halfa ...

Przedzieram się przez tłum czarnych kobiet w czarnych szatach. Wiadac tylko błyszczące oczy i białe zęby.

Znów opadają nas psy. Wydaje się, że jest dużo chłodniej, ale to tylko złudzenie po dusznej przesiąkniętej naftą i spalenizną izbie.

Wracamy do obozu. Za nami idzie ciągle milczący rais. Trzeba uważać, bo w piasku teraz łatwo natrafić na skorpiona.

Jestem krańcowo wyczerpany. Nie myjąc się i nie rozbierając rzucam się na łóżko w mym namiocie.

Nade mną na drewnianej półeczce siedzi kameleon. Umieszczam go tu na noc. Zmienia wtedy barwę z ciemno zielonej na bladoseledynową. I tak tkwi nieruchomo do rana.

* * *

*

Wyjeżdżam z Faras. Zapakowałem cały mój sprzęt i zebrane materiały, ale trzeba było na mnie czekać, bo nie zdążyłem uporać się z bagażem osobistym. Kameleona wpakowałem do pudełka po biskwitach, a gdy miano mnie przewieść feluką na drugą stronę rzeki, zajechało auto ciężarowe. Wyskoczył z niego Abdel Rachim i oświadczył, że mam jechać z nim. Do szoferki poza mną wtłoczyli się także Kazimierz Dziewanowski i Stefan Jakobielski. Profesor Michałowski serdecznie mnie uściskał. Żegnany przez całą Polską Misję odjechałem.

Mijaliśmy schludne nubijskie domki, gdzie nad wejściem do każdej zagrody umieszczona była jakaś ozdoba — przeważnie wmurowane, ułożone w wymyślny wzór, porcelanowe talerzyki, czasem wypchany krokodyl lub duży waran nilowy. Wszystko to zostanie wkrótce ewakuowane, a potem wieś i te budynki zaleje woda. Pod Wadi Halfa przeprawiliśmy się przez Nil promem i zajechaliliśmy wprost pod Muzeum, gdzie — jak zwykle — panował duży ruch. Wręczyłem Dżemilowi pieniądze na bilet powrotny na statek do Shelal i odrazu pojechałem do szpitala, gdzie moją wizytę miał zaanonsować Shefir. Oczywiście zapomniał to zrobić (to bardzo charakterystyczne dla całego świata arabskiego. „Zapomina” tu się często).

Pod murem szpitala siedziała spora gromada ludzi z Faras. To krewni tego poparzonego, którego tu jakoś przetransportowano. Zaraz obstąpiono mnie, wrywając z rąk dość ciężkie pakunki i wnosząc je za mną do środka. Dzięki temu przez kordon pilnujących porządku dozorców, przedostały się ze mną dwie osoby.

Udałem się do dra Ali Abdel Ghindi, wypytując go o zdrowie naszego chorego. Jednak zasadniczym celem mej wizyty miało być dotarcie do ksiąg szpitalnych, a przede wszystkim do rejestrów zmarłych, przyczyn ich zgonów i innych informacji. Szpitale prowadzą taką rejestrację dla celów statystycznych. Dr Ghindi zgodził się to wszystko mnie udostępnić, po czym wypiliśmy razem kawę. W międzyczasie nadszedł urzędnik prowadzący księgi i zbierający meldunki terenowe — pan Omar Bitek. Okazało się, że Bitek wolałby, abym tu przyszedł w tej sprawie o godzinie szesnastej. Nie było rady. Księgi mają wprawdzie rubryki w języku angielskim, ale prowadzone są po arabsku. Bez pomocy Biteka trudno byłoby mi z tego korzystać. Udaliśmy się do chorego z Faras. Leżał nieprzytomny na ceracie rozłożonej na łóżku ochronionym myślinowym namiotem charcząc ciężko. Uszczęśliwieni krewni, którzy wcisnęli się tu ze mną, kiwali głowami, że „kulu kłois”, widząc go tak zadbanym, ale ja od razu zorientowałem się, że wcale nie jest kłois i że nieszczęśliwiec długo nie pociągnie po tak rozległym oparzeniu całego ciała. Zabrałem manatki i pojechałem do eleganckiego hotelu „Nile”, zbudowanego jeszcze przez Anglików dla potrzeb turystów, którzy dojeżdżali do tego odległego zakątka po zwiedzaniu Abu Simbel. Jakiś zarządzający w recepcji hotelowej — Grek czy Syryjczyk — oświadczył mi uprzejmie acz stanowczo, że miejsc nie ma. Właśnie przybył statek z Egiptu i wszystko jest zajęte. Jednak ktoś zdążył mu szepnąć, że jestem „doktor z Faras”. Nawet tu dotarła moja sława „świadczącego usługi dla ludności”. To podziałało natychmiast. Znalazł się nie tylko pokój, ale dwuosobowy apartament ze skórzanymi fotelami i obszerną dziewiętnastowieczną łazienką, w której obok starożytnej wielkiej wanny stała kanapa do wypoczynku po kąpieli, stoliczki, krzeselka, lustra i lusterka, a wielkie śmigło wirowało pod sufitem. Nie zastanawiając się nad niczym (nawet nad tym ile to będzie kosztowało), zająłem pokój, rozebrałem się i natychmiast włożyłem do wanny, pozostawiając w niej chyba z 1/2 kilograma pustynnego pyłu z naszych wykopalisk. W hotelu już było po lunchu, więc znów ruszyłem (tym razem pieszo) w kierunku szpitala. Upał zelżał. Droga była wysadzana starymi palmami. W małych ogródkach rosły przepiękne malwy. Bardzo podobne do tych polskich, tylko trochę drobniejsze.

Do godziny szesnastej zostało trochę czasu, więc jeszcze raz wstąpiłem do naszego chorego. Moja pierwsza wizyta musiała tu wyrzucić wrażenie, chory był spowity w bandażę i podawano mu kroplówkę, choć i wtedy nie był niedopatrzony. Według mego rozeznania stan bez nadzieiny.

Pan Bitek już był w biurze. Czekał na mnie. Niestety miał do dyspozycji tylko księgi z 1962 r. Starsze odesłano już do Chartumu. Ogółem w tym roku w dystrykcie Wadi Halfa zarejestrowano 168 zgonów (spis

obejmował miejscowości: Wadi Halfa, Halfa Digheim, Debejra, Iszkejt, Argin, Serra West, Serra Ist, Dabroza Ajlend, Augsz, Faras West). Informacje, dotyczące wieku i płci zmarłych, a także przyczyn zgonów okazały się bardzo ciekawe.

Ze szpitala wyszedłem dość późno i od razu pojechałem na rynek, aby kupić jakieś podarunki dla mych córek. Tu w Sudanie jest t.zw. „twarda waluta” i sporo atrakcyjnych towarów. Do „Nile hotelu” wróciłem zmęczony. Przebrałem się i zszedłem na parter do rześcicie oświetlonego salonu na *dinner*. Zostałem tam rozbawione towarzystwo bogatych turystów. Ludzie elegancko ubrani (a w każdym razie na wieczór „przebrani”), panie w długich sukniach, obsypane biżuterią, sporo Anglików, ale głównie Niemcy — niesympatyczni, hałaśliwi. Przeważnie starsze pokolenie.

Posadzono mnie obok starszego gentlemana z rozetką jakiegoś wysokiego orderu w kłapie, ubranego nieskazitelnie w czarny garnitur, w białej koszuli z muszką. Moje skromne ubranie terenowe odbijało się od tej elegancji, ale nie przejmowałem się tym. Nie przyjechałem tu jako turysta.

Starszy pan, Anglik jak się okazało, przedstawił mi się, a gdy się dowiedział, że jestem z polskiej Misji, działającej w ramach akcji ratowniczej UNESCO, zaczął pytać z dużym zainteresowaniem o szczegóły naszej pracy. Kiedy około północy rozstawałem się z nim, oświadczył, że jutro wynajmie specjalny samochód i pojedzie do Faras. Zaprosił mnie też do swego zamku w Szkocji.

Potem w pokoju skrzeczały uwijające się po ścianach gekony, było trochę komarów, ale nie gryzły te małe muszki — namity. Obok płynęła wielka rzeka. Jej święte wody srebrzyły się w blasku księżyca. Z daleka dochodził całkiem swojski rechot żab. Jak u nas nad Wisłą pod koniec kwietnia.

Rano zerwałem się wcześniej. Drzewo rosnące pod oknem obsypane było niewiarygodnie czerwonymi kwiatami. Było jakoś odświętnie. — Przypadkowo złapałem taknę i szybko dojechałem do Muzeum. Mr Dżemil zakomunikował mi beztrasko, że choć statek przyjechał, ale on biletu jeszcze nie ma. Zamówił go wczoraj i bilet na pewno będzie.

To „na pewno” zaniepokoiło mnie nieco. Zabrałem czekającego na mnie i zawsze gotowego do pomocy Abdel Rachima i postanowiłem z jego udziałem zdobyć dane, dotyczące liczby ludności Wadi Halfa i tu-tejszego okręgu. Te informacje będą mi potrzebne do wszystkich opracowań demograficznych z tego terenu.

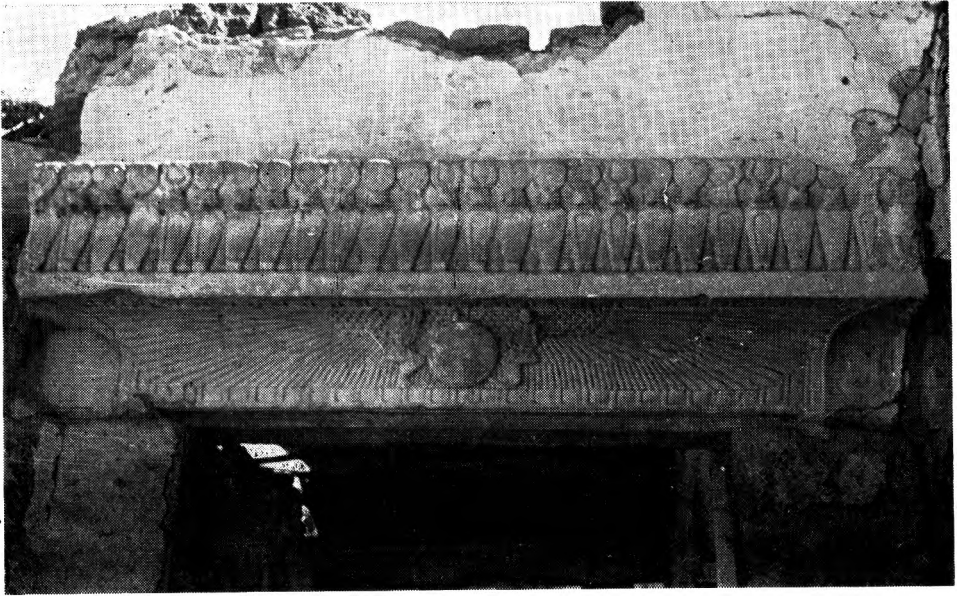
Sprawa okazała się nie taka prosta. W urzędzie miejskim oświadczone nam, że takie dane posiada tylko urząd informacji, mieszczący się przy komendzie policji. Cóż było robić? Zaciągnąłem Abdel Rahima do ładnego półkolistego gmachu, gdzie przy bramie stało dwóch smukłych policjan-



Ryc. 2. Droga do Faras. Typowa wioska nubijska nad brzegiem Nilu



Ryc. 3. Droga do Faras. Brzegi Nilu są nie tylko skaliste



Ryc. 4. Wykorzystanie staroegipskiego nadproża nad wejściem do katedry chrześcijańskiej w Faras



Ryc. 5. Stele nagrobku biskupów w katedrze w Faras



Ryc. 6. Wnętrze grobu biskupiego



Ryc. 7. Jeden z najpiękniejszych fresków z Faras, przedstawiający Boże Narodzenie (obecnie w Muzeum Narodowym w Chartumie)



Ryc. 8. Portret czarnego biskupa Petrosa, protegowanego przez Św. Piotra i Matkę Boską (fresk ten stał się dowodem, że portrety biskupów przedstawiały konkretne postacie historyczne)



Ryc. 9. Portret biskupa Marianosa na ścianie katedry w Faras



Ryc. 10. Fragment jednego z fresków w katedrze w Faras (najstarsza warstwa)



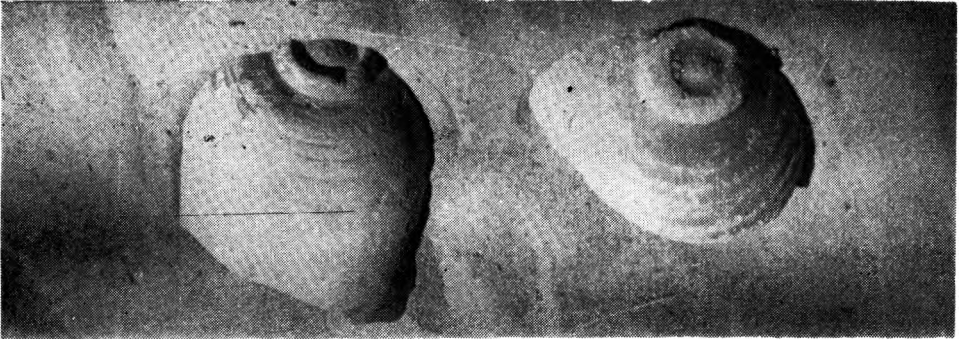
Ryc. 11. Demontaż katedry w Faras. Moment zdejmowania fresku przez konserwatorów Muzeum Narodowego w Warszawie



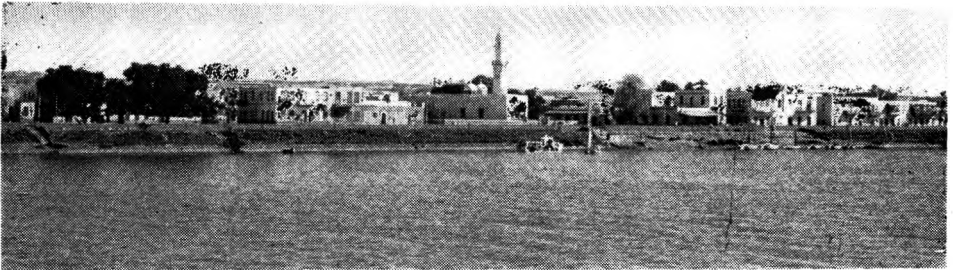
Ryc. 12. Ruiny katedry w Faras



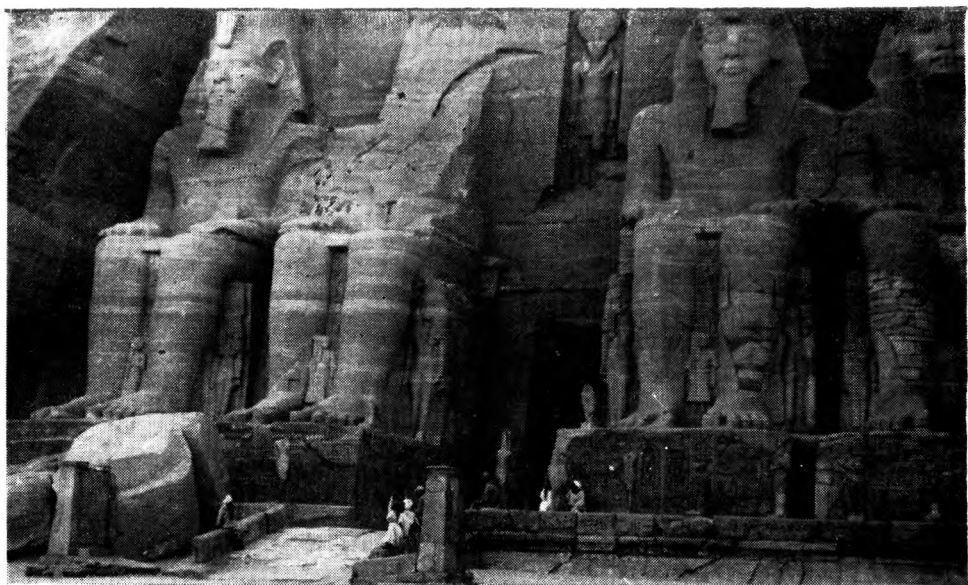
Ryc. 13. Eksploracja grobów wczesnochrześcijańskich w rejonie kościołów Faras I i II na pustyni



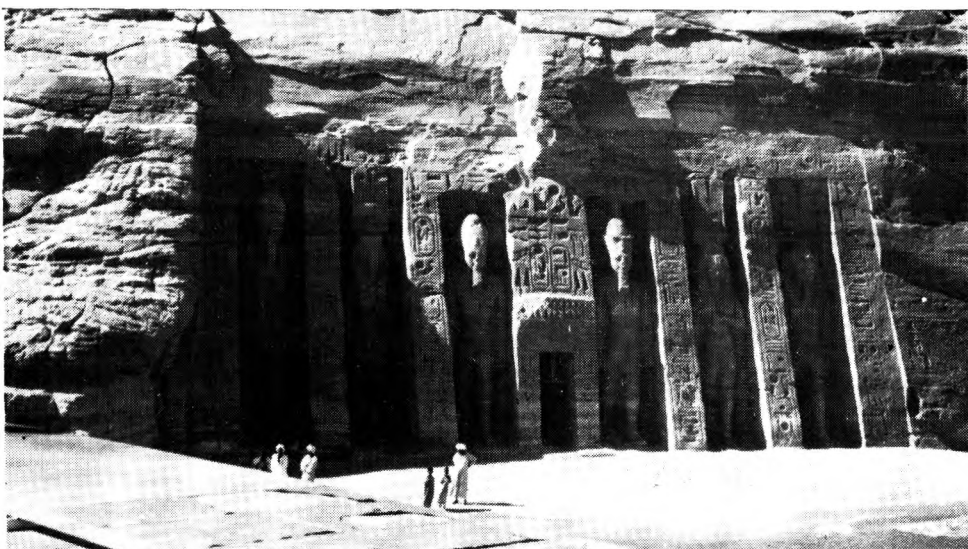
Ryc. 14. Fragmenty naczyń wydobytych z grobów wczesnochrześcijańskich w Faras. Naczynia te, wykopywane przez mieszkańców Faras, były jeszcze obecnie w powszechnym użytku



Ryc. 15. Miasto Wadi Halfa, przez wieki ważny ośrodek handlowy w Nubii. Obecnie na dnie Jeziora Nassera



Ryc. 16. Słynna świątynia Ramzesa II w Abu Simbel przed pocięciem jej na kawałki i zmontowaniem w nowym miejscu



Ryc. 17. Świątynia małżonki Ramzesa II królowej Nefertari w Abu Simbel

tów z fantastycznymi kapeluszami na głowie. Srebrzącym się na nich godłem były trzy palmy (żołnierze noszą znak wielbłąda). Do skautowego stroiku mieli na łydkach czarne owijacze i sandały na bosych stopach. Wyglądało to bardzo zabawnie.

Urząd informacji zajęty był wyłącznie sprawami przesiedlenia ludności Wadi Halfa. Od razu wręczono mi prospekty propagandowe z informacjami, jak dobrze będzie w Kashm el Gibra. Będzie to nowe miasto, nowoczesne, posiadające metro (!). Można go porównać do ... Brasilii, nowej stolicy tego kraju, wybudowanej także od podstaw na nowych terenach. Kashm el Girba, położone nad rzeką Atbara w prowincji Kas-sala, będzie taką sudańską Brasiłą...

Na razie ludności wypłaca się odszkodowanie za każdy dom, każdą palmę i inne rosnące drzewa (nie za ziemię!). Urzędnik, który z entuzjazmem i głęboką wiarą w słuszność całej sprawy opowiadał nam o tym, poczęstował nas herbatą, ale potrzebnych mi informacji nie udzielił.

Musimy poczekać. Może je podać tylko jego szef, który będzie za pięć minut: Pięć minut przeciągnęło się do godziny (i tak króko!), a w międzyczasie dowiedzieliśmy się, że ludność wcale nie chce się przenieść, że są i tacy, którzy oświadczyli, że zostaną na miejscu. Niech ich Nil zalewa, jeśli tak ma być, ale oni nie ruszą się nigdzie. To poważny problem nie tylko tu. Ludzie boją się opuszczać strony rodzinne. To głębokie przywiązanie do rodzinnego miejsca, gdzie się człowiek urodził, do warunków lepszych lub gorszych, ale takich, jakie się zna, do jakich przywykło się i gdzie żyje się jakoś wśród swoich.

Po długim oczekiwaniu okazało się, że poszukiwane liczby są w ofiarowanym nam prospekcie (czy tylko prawdziwe?). Ludność tego rejonu liczy 17.451 mężczyzn i 21.027 kobiet (razem z nieobecnymi, zatrudnionymi przede wszystkim w Egipcie wynosi to 53.274 osoby).

Właśnie przyszedł szef. Nie wypada się wycofać. Komisarz dopytuje się przede wszystkim, po co mnie są te dane, a następnie oświadcza, że musi nas zaprowadzić do wysokiego komisarza, gdyż tylko on jest w stanie udzielić mi tych informacji.

Gabinet wysokiego komisarza — Hassana Dafa Alla — jest typowy: wielkie miękkie fotele, dywan, olbrzymie biurko, na ścianie portret prezydenta gen. Abuda. Komisarz przyjmuje akurat jakiegoś dowódcę wojskowego, ale mimo to nie pozwala nam czekać. Obaj panowie są ubrani w bardzo piękne mundury i mają twarze ozdobione typowymi dla północnego Sudanu znakami szczepowymi. Komisarz częstuje nas kawą, w międzyczasie zaś bez żadnego „śledztwa” i wypytywań, dyktuje ze swoich akt potrzebne mi informacje. Ludność miasta Wadi Halfa wg spisu z 1961 r. wynosi 11.056 osób w tym 5.591 mężczyzn i 5.465 kobiet. Notuję też inne dane. Dziękujemy i wycofujemy się. Nie chcemy komisarzowi zabierać czasu.

W Muzeum już czeka na mnie bilet na statek, Dżemil nie zawiódł. Muszę jeszcze zgłosić się do biura paszportowego i do ośrodka zdrowia (żeby otrzymać zaświadczenie, że nie przebywałem w rejonie, gdzie panuje żółta febra). Jutro wyjeżdżam z Sudanu, kraju sympatycznego, rzetelnych ludzi, usposobionych przyjaźnie do każdego, a jednocześnie gorących patriotów — przywiązanych do swej ojczyzny.

W Egipcie czeka mnie moc spraw.



Ryc. 18. Relief przedstawiający jeńców wojennych (na ścianie Świątyni Ramzesa II w Abu Simbel)

FARAS 1964

Czekam w Kairze. Z Faras doszły nas hiobowe wieści. W naszym obozie był pożar. Straty w sprzęcie są podobno niewielkie, ale Józef Gazy ratując freski, poparzył się. Nic poza tym nie wiadomo, bo jest tylko lakoniczna informacja telegraficzna.

Zostałem ściągnięty z wykopalisk w Aleksandrii. Dziś z Warszawy przylatuje prof. Kazimierz Michałowski. Zabukowano nam bilety samolotowe wprost do Wadi Halfa. Teraz jest takie połączenie.

Szaleje burza piaskowa. Samolot z Warszawy wylądował szczęśliwie. Przyleciał nim prof. Michałowski, ale dziś sytuacja uległa pogorszeniu. Wiatr szarpie koronami palm, przez ulicę przesuwają się fale pyłu, piasku i śmieci. Papiery podlatują na wysokość drugiego piętra. Widoczność bardzo słaba. Wyobrażam sobie, co się dzieje na pustyni?

Od 6 rano czekamy na lotnisku w Kairze. Okazuje się, że samolot do Luksoru nie odleci. Następny lot jest o godzinie trzynastej, ale tam wszystkie miejsca są dawno zajęte. Zresztą nie wiadomo czy też odleci?

My musimy być dziś w Luksorze, aby nie stracić jedyne go połączenia (raz na tydzień) do Wadi Halfa. Nie wiadomo co robić? Urzędnik „Egypt Airways” tłumaczy nam z cierpliwym uśmiechem, że przecież jutro też będą samoloty do Luksoru, a zawsze jakieś połączenie z Wadi Halfa znajdzie się. Jak nie samolotem, to pociągiem, statkiem... Tu nigdy nikomu nie spieszy się, a pośpiech, zdenerowanie są traktowane jako coś niepoważnego.

Nie będę opisywał tych wszystkich telefonów, interwencji, włączenia w naszą sprawę całego autorytetu prof. Michałowskiego i UNESCO. Rezultat był dość mierny. Telefonicznie zarezerwowano nam miejsce na statku z Shelal do Wadi Halfa.

Do Luksoru odlecieliśmy po południu. Samolot „Komet” był przepelniony. Siedziałem obok bardzo czarnego ministra z Togo, który też nie mógł zabrać się rano. Choć lot był krótki, zdołano nam podać doskonały lunch i już byliśmy na lotnisku w Luksorze. Oczekiwała nas tam cała Misja, pracująca w świątyni Królowej Hatszepsut w Deir el Bahari: Leszek Dąbrowski, Tauszyńscy, Elżbieta Dąbrowska. Nie było czasu na przeprawienie się na drugą stronę Nilu do doliny Assasif. Zainstalowano nas w hotelu „New Winter Palace”. Tylko L. Dąbrowski zdołał znaleźć wolny pokój. Jest wszak szczyt sezonu turystycznego. Z balkonu naszego pokoju widać rzekę, feluki z wysokimi żaglami płynące na północ, a po drugiej stronie Dolinę Zmarłych i Dolinę Królów. Tuż pod nami ciągnie się bulwar z korowodami dorożek, dzwoniących jak przedwojenne warszawskie tramwaje, gdy motorniczy w razie potrzeby nogą naciskał dzwignię dzwonka. Jeśli jutro dojedziemy do Shelal, w Wadi Halfa będziemy dopiero za trzy dni. Nasz samolot już odleciał. Następny będzie za tydzień...

Po eleganckim „dinnerze”, zjedzonym w hotelowej restauracji, udaliśmy się do naszego pokoju. Profesor Michałowski opowiadał długo o swych przejściach wojennych, a potem o pobycie w obozie jenieckim. Jak zwykle jest on pełen energii i optymizmu; na mnie to zawsze doskonale działa.

Statek nazywa się „Al Mirriekh”. Odpłynął z Shelal o godz. siedemnastej. Dotarliśmy tam z Luksoru pociągiem, dosłownie w ostatniej chwili. Droga do Shelal była zła. Pociąg zatrzymał się w tzw. głuchym polu, a raczej w szczerzej pustyni, stał beznadziejnie długo na małych zupełnie martwych stacyjkach. Nawet prof. Michałowski zaczął niepokoić się, czy zdążymy? W dodatku nie mieliśmy nic do jedzenia, a o kupieniu czegokolwiek nie było mowy. Dopiero tu na statku o godz. dwudziestej podano nam kolację.

Statek — choć to przecież wodny środek lokomocji — należy do „Sudan Railways”.

Przy stole usiedli z nami jacyś Niemcy. Starsze małżeństwo, które zdecydowało się na taką egzotyczną wyprawę turystyczną. Jakoś zga-
dało się o Warszawie.

Kennen Sie Warschau? So schöne Stadt. Wih haben passiert dort den ganzen Krieg”.

„Ach tak! To bardzo ciekawe. Co państwo tam robili?” I oto jakiś niewyraźny błysk w oczach starszego pana i przerażenie damy, gdy dowiedzieli się, że jesteśmy Polakami. Rozmowa już nie kleiła się. Przy następnym posiłku Niemcy siedzieli gdzieś na drugim końcu jadalni. Widocznie wspomnienia wojenne z pięknej Warszawy nie bardzo nada-
wały się do opowiadania Polakom...

W naszej kabinie jest gorąco. Mieści się ona na najwyższym pokładzie, więc słońce nagrzewa jej dach. Na najniższej kondygnacji statku podróżują ubodzy Sudańczycy, wracający do swych rodzin ze służby w Egipcie. Koczują wprost na deskach, przyrządzając sobie tam posiłki, prowadząc między sobą dyskusje. Ten podział jest dość nieprzyjemny, bo w rezultacie w tym wolnym kraju najlepsze kabiny I kl. zajmują obcy obywatele, biali. Czarni, jak dawniej, podróżują w IV klasie. Jak za czasów kolonialnych. A może wtedy w ogóle nie było dla nich miejsca na turystycznych statkach?

Drogę tę przebywałem w ubiegłym roku, ściśle rok temu, tylko obec-
nie statki nie odpływają ze starego Shelal, a wprost spod nowej przy-
stani autobusów. Płynie się przez gigantyczny teren robót budowlanych. Przy wjeździe na pełny nurt Nilu ogromny napis po rosyjsku i po arab-
sku: „Do uruchomionego nowego koryta rzeki — 57 dni”. To już 15 ma-
ja 1964 r. wody Nilu mają być skierowane w nowe łóżyisko. Rzeka po-
płynie przez turbiny wielkiej elektrowni.

Monotonnie szumi motor stateczku, na niebie Wielki Wóz, który od-
wrócił się „do góry nogami”. Gwiazda Polarna nisko nad horyzontem
i sierp księżycy. Na wodzie spędzimy cały jutrzejszy dzień i jeszcze jed-
ną noc; dopiero w sobotę dopłyniemy do Wadi Halfa. Tak nam popsuła
szyki burza piaskowa.

* *
*

Podróż Nilem była przyjemna i czas wcale się nie dłużył. Po raz ostat-
ni zobaczyłem Abu Simbel. „Abu Simbel 5 minut przed dwunastą”!

Potężne posągi wielkiego faraona Ramzesa II, władcy Górnego i Dol-
nego Egiptu, tkwią jeszcze w skalnej ścianie, zapatrzone jak przed wie-

kami w pustynię po drugiej stronie świętej rzeki. W ciągu minionych stuleci żadne burze nie zdołały ich naruszyć. Później pustynny, gorący wiatr zasypał wejścia do wykutych w skale sanktuariów i zdawało się, że już nic nie zakłóci spokoju tego miejsca. Jednakże ogromne zainteresowanie kulturą starożytnego Egiptu, które doszło do szczytu w XIX wieku, doprowadziło do spenetrowania i częściowego zniszczenia wielu — zdawałoby się ukrytych na zawsze przed okiem człowieka — zabytków. Zostały również splądrowane w Abu Simbel, stanowiąc zabytek o wyjątkowej wartości i niezwykłym pięknie. Pozostały jednak dzieła, których nie zdołano zniszczyć, po prostu ze względu na ich monumentalny charakter i możliwości techniczne ówczesnych szabrowników i „kolekcjonerów”. Przetrwiała do dziś fasada świątyni Ramzesa II wykuta w skale, przedstawiająca cztery olbrzymie posągi siedzącego faraona, a obok zbudowana w podobny sposób świątynia jego małżonki — królowej Nefertari. Wspaniałe dekorowane sale i sanktuaria drążą głęboko w zbocze góry.

Na pierwszym miejscu w akcji ratowania zabytków starożytnej Nubii postawiło UNESCO sprawę ocalenia Abu Simbel. Jak już wspomniałem wyżej, przygotowano kilkanaście projektów uratowania świątyń. Jeden z projektów (najtańszy) przewiduje wycięcie ze skały obu świątyń i wywindowanie ich na wysokość ok. 70 m ponad poziom wody, aby umieścić całą świątynię na górze, na wysokim, skalistym brzegu, ściśle ponad miejscem jej obecnego usytuowania. Trzeba sobie uświadomić, że mimo dużych możliwości współczesnej techniki, wykrojenie ze skalnego brzegu i dźwignięcie do góry monolitów kamiennych, ważących ok. 300 tysięcy ton, jest dość ryzykowne. Pomińmy związane z tym ogromne koszty, jak i fakt bezpowrotnego uszkodzenia zabytku, który będzie musiał być pocięty na mniejsze bloki, ale przecież zmieni się charakter samych świątyń, tworzących ze swym skalnym otoczeniem nierozłączną i harmonijną całość. Tymczasem budowa Tamy postępuje, wody Nilu nie będą czekać ...

Wysiadamy na brzeg. Wielkie posągi mądrego faraona stoją jeszcze nienaruszone, ale obok nich, na wąziutkim pasemku piaszczystej plaży zgromadzono ogromną masę wszelkiego sprzętu i żelastwa. Stoją już dźwigi. W nie rozpakowanych skrzyniach spoczywają stalowe piły do cięcia kamienia. Wszędzie piętrzą się stopy falistej blachy i szyn, którymi trzeba będzie zabezpieczyć świątynię, gdy woda zacznie napierać.

Ten spokojny, pełen powagi i wyjątkowego piękna zakątek stał się ośrodkiem niezwykłego ruchu i wrzawy. Poza ekipami robotników przybywają tu jachtami, specjalnymi stateczkami i wodolotami tysiące turystów z całego świata, chcących zobaczyć ten klejnot kultury ludzkiej, mający ulec jeśli nie zagładzie, to w każdym razie poważnemu zniszczeniu.

Współczesny świat i w tej sprawie nie potrafił osiągnąć porozumienia. W drugiej połowie XX wieku w skarbcach nawet bogatych krajów zabrakło odpowiednich sum na ratowanie zabytku, będącego wspólną własnością całego świata kulturalnego.

Czy wybaczą to nam przyszłe pokolenia?

Czy wielki faraon mógł przypuszczać, że jego dzieło zostanie zniszczone właśnie w okresie wielkiego rozkwitu techniki i cywilizacji?

Stateczek daje już sygnał do odjazdu. Wracam na jego pokład pełen zadumy i sprzecznych uczuć. Patrzę, jak słońce odbija się w Nilu i chłonną, utrwalam w sobie ten obraz oddalający się powoli. Już go nigdy nie zobaczę! „Al Mirriekh” wzmacnia pracę swych motorów.

Wieczorem stateczek dojechał do Wadi Halfa. Tuż po zachodzie słońca mijaliśmy Faras. Z daleka zobaczyliśmy fioletowe góry, a potem znany brzeg z komem i ruinami katedry. Jednak przepływaliśmy w zbyt znacznej odległości od brzegu i wobec zapadającego mroku trudno było coś rozpoznać.

Motory już nie pracują, ale na noc musimy zostać na pokładzie, w naszych kabinach. Dopiero jutro rozpocznie się kontrola paszportowa, celna i sanitarna.

Woda pluszcze o burzę „Al Mirriekh”, na brzegu rozpoczął się koncert świerszczy.

Rano spotkanie z Sherifem i Dzemilem. Z Faras przybyli też Antoni Ostrasz i Józef Gazy. Opowiadają o tym, co zaszło w naszym obozie. Zaproszony przez służbę ogień wywołał pożar. Spłonęło trochę sprzętu osobistego, kilka walizek z ubraniami, ale ocalały freski. Gazy, ratując te skarby, poparzył sobie rękę. Właśnie przyjechał do Wadi Halfa na zmianę opatrunku. Jadę z nim do szpitala. Oparzenie nie jest groźne, ale dość rozległe. Obandażowana ręka będzie mu przeszkadzała w pracy. — Prof. Michałowski telefonuje do Antiquities Service do Chartumu. Ustala pewne sprawy z Tabidem. Jest też trochę listów dla naszej Misji. Idziemy na pocztę. Właśnie Sudan wydał serię znaczków z „polskimi” freskami i napisem „Save Nubian Monuments — UNESCO”. Polska poczta też wpadła na ten pomysł. Będą więc i polskie znaczki z Faras!

Jest chwila czasu, więc udaję się na małą przechadzkę po miasteczku, zaglądam do sklepików i straganów. Wszędzie tu życzliwie zachęcają do obejrzenia towarów. Nie zobowiązuje to do kupna czegokolwiek, nie wywołuje zniecierpliwienia sprzedawców. Są nie tylko po to, żeby sprzedawać, ale i zachwalać. Dużo tu tandety europejskiej produkowanej „na eksport”, dla Afryki. Moc reklam, na których królują niebieskookie, rozneglizowane blondyneczki. To tu jeszcze robi wrażenie ...

Po załatwieniu niezbędnych zakupów ładujemy się do niezłe wyglądającego Forda, który ma nas zawieźć do Faras. Ewakuacja ludności tego terenu już się odbyła. Mijamy te małe domki z ozdobami nad drzwiami,

tak przyjemne dla oka w swych opływowych kształtach, estetyczne pod względem proporcji i formy. Zionie tu pustą. Drogę przebiegają czasem wychudzone psy. Widocznie nie wszystko było można zabrać na południe. Kto by pamiętał o psach, gdy zostawiono domy i palmy, naczynia gliniane i „meble”? W tych warunkach nie było czasu na sentymenty. Należy dodać, że ze zwierzętami nikt tu się nie cacka. Przecież często nie ma co włożyć do ust dziecku!

Przebijamy się przez zwały piasku. Na drodze zdażyły już potworzyć się wydmy. Wiatr szybko wznosi tu swoje budowle. Droga jest zła, a właściwie już jej wcale nie ma. W pewnym momencie rozlega się dość głośny trzask i wóz staje.

Okazuje się, że pękł przedni resor. Stoimy na zupełnym pustkowiu. W międzyczasie zrobił się duży upał. Ostrasz z Gazym wyruszają na poszukiwanie pomocy. Szczęśliwie nadjeżdża jakaś ciężarówka. Okazuje się, że to miejscowy autobus. Nasz szofer z potężnym młotem w ręku włązi pod auto. Z autobusu wychodzą gapie. Wszyscy chcieliby pomóc (taki tu zwyczaj) ale jak? Po krótkiej naradzie decydujemy się zostawić naszego Forda i ładujemy się do autobusu, który szczęśliwie zmierza w kierunku naszych wykopalisk. Ścisk jest ogromny, dosłownie wchodzimy na kolana gęsto siedzących ludzi, którzy są życzliwi i wszystko biorą „na wesoło”. Usiłują nas usadzić jak najwygodniej. W ten sposób dojeżdżamy do przeprawy nilowej. Po drugiej stronie rzeki nasz obóz. Na brzegu czeka mała łódeczka z doczepionym motorkiem. Ledwo się wszyscy mieścimy, ale już motor prycha i powoli odbijamy od brzegu. Przecinamy ukośnie rzekę. Ale dosłownie na środku motor przestaje pracować. Szczęśliwie nie ma wysokiej fali, mimo to porywa nas wartki nurt i zaczynamy płynąć bokiem. Grozi nam wywrócenie. Ostrasz i Gazy pracują nad uruchomieniem motoru. Przy większym przechyle nabieramy trochę wody. — Zaczynam się zastanawiać nad możliwościami dopłynięcia wpław do brzegu. Nie jest tak daleko, ale sprzęt naukowy i rzeczy? Poza tym „działają” tu krokodyle... Nie jest to sprawa błaża. Jednak motor zaczyna znów pracować. Zachłystuje się, ale już prycha dość raźnie. Nawracamy, lecz teraz trzymamy się blisko brzegu. Jak stwierdza prof. Michałowski, biskupi z Faras uwzięli się na nas od początku podróży. A może właśnie oni pozwolili nam w końcu przezwyciężyć wszystkie przeszkody?

W obozie panuje już dobry nastrój, choć jeszcze wszystko jest pod znakiem pożaru. Jego wynik był zupełnie od nas niezależny i przypadkowy, gdyby jednak ogień doszedł do blaszanek z zapasem benzyny, skutki takiego zaprószenia ognia mogły być nieobliczalne. Właśnie dlatego nie ratowano osobistego mienia. I tak najważniejsze były freski.

Jednak miejsca jest teraz mało, zostałem więc dokwaterowany do namiotu Gazego, którego też wziąłem pod opiekę lekarską.

Przyjazd profesora Michałowskiego zmobilizował od razu całą ekipę. Trzeba przyznać, że ludzie są zmęczeni upałem, ciężką pracą i — co tu ukrywać — złymi warunkami bytowania. Inne misje opuściły już ten obszar. Także do niedawna tak ruchliwa miejscowość — Faras — jest już bez ludzi. Wioskę ewakuowano. Zostały tylko puste uliczki i wymarłe domy. Przez otwarte drzwi można wejść do środka i zobaczyć jeszcze ślady życia, ale życia już tam nie ma. Przez szparę w dachu wpada ostry promień słońca oświetlając pozostawiony na środku izby osmolony garnek, palenisko z resztką popiołu, jakieś porwane maty, stare kapcie. Pod ścianą stoją piękne stągwie i wielkie zdobione pojemniki gliniane. Mogłyby być ozdobą każdego muzeum etnograficznego, ale jak je zabrać? A my musimy się śpieszyć. Na ścianach katedry zostało jeszcze około 20 mniejszych fresków — trzeba je zdjąć i zabezpieczyć. Zaczęły się też trudności z robotnikami. Część z nich ewakuowano wraz z rodzinami. Inni, przybyli z dalszych okolic, zaczynają kręcić głowami. Może po prostu trochę boją się tu zostać odcięci? Wieczory i noce są dość smętne. Nie słychać już odgłosów wioskowego życia. Nie przychodzą już chorzy, ani na pogawędki wieczorne nasi robotnicy.

Tak naprawdę to nie wiadomo, czy my sami jesteśmy tu bezpieczni? Nie mamy już żadnej obstawy policyjnej, no i — oczywiście — żadnej broni.

Nad ranem, gdy jest jeszcze ciemno, budzi mnie rozdzierający skowyt psów, które tu pozostawiono. Atakują je szakale, grasujące teraz po opustoszonej wsi. Wzmaga się inwazja komarów. Jest bardzo gorąco.

Katedra i klasztor już w kompletnej ruinie. Sterczą ogołocone ze wszelkich malowideł gliniane ściany. Wszędzie pełno przekopów i dołów. Zbadano wszystko, co się dało. Mnie czeka jeszcze kolejny grób biskupa i kilka pochówków późnonubijskich. Poza tym chcę zrobić mały sondaż na sąsiednim cmentarzysku meroickim, nie mówiąc o dalszym ciągu materiałów, czekających w szpitalu w Wadi Halfa. Tam też trwa gorączkowa, totalna ewakuacja.

Obszedłem opustoszałą wioskę, dokonując zdjęć.

Ręka Gazego nie wygląda za dobrze, a ma on teraz szczególnie uciążliwą robotę: nasącza płynnym woskiem pozostałe freski. Uszyłem mu więc specjalną rękawicę, zabezpieczającą opatrunki. Z tym woskiem do utrwalania malowideł też są kłopoty. Jest to autentyczny wosk pszczeli, który wydaje charakterystyczny, zresztą przyjemny, zapach. Ściaga to całe masy owadów. Entomolog miałby tu co robić. Niestety, my nie mamy chwili czasu na żadne dodatkowe działania. Trzeba ratować freski. To zadanie Nr 1. Ja też w tym uczestniczę, niezależnie od mego grzebania w grobach.

Sam proces zdejmowania fresku ze ściany wymaga dużej wprawy. Do nasyconej woskiem powierzchni malowidła „przyklepia” się specjalne

lniane serwety, wzmocnione na brzegach linami. Powierzchnie łączy się z woskiem z tymi serwetami „na gorąco”. Potem następuje bardzo żmudny i wymagający cierpliwości proces pilowania fresku od tyłu. Ostatnim aktem jest ułożenie, przez odpowiednią manipulację, odłączonego od ścian malowidła, na płaskim ekranie z dykty. Teraz freski należy przygotować do dalekiej drogi. Służą do tego płaskie skrzynie zbite z grubych, mocnych desek.

Z tymi deskami też mieliśmy nadzwyczajne kłopoty. Zamówiony w Polsce materiał potraktowano byle jak. Przysłano nam zupełnie nieprzydatne „łaty” sosnowe, cienkie i nierówne, pokryte korą. Szczęśliwie udało się w Wadi Halfa kupić porządne deski. Z nich to dzień i noc robi się na miejscu płaskie skrzynie, dostosowane swą wielkością do rozmiarów malowidła. Mamy tu stolarza, ale on nie jest w stanie nadażyć z robotą. Wszyscy więc pilują deski i zbijają skrzynie. Jesteśmy zasypani trocinami, które szczególnie lgną do mokrego ciała (lepsze to niż piasek).

Malowidła zabezpieczone „od frotu” serwetami nasyconymi woskiem (który potem w laboratorium oddzieli się odpowiednimi rozpuszczalnikami), są owijane w bawełniane kołdry, które cały czas robi dla nas w Wadi Halfa specjalny rzemieślnik. Szczęśliwie w tym kraju wata bawełniana jest artykułem pospolitym i bardzo tanim, bowiem budżet nasz jest na wykończeniu i prof. Michałowski musiał wprowadzić nadzwyczajne oszczędności, ale przecież jesteśmy przyzwyczajeni do ciężkich warunków. Inne misje już dawno przerwały pracę, rezygnując nawet z tego, co można by jeszcze ocalić. My musimy doprowadzić nasze dzieło do końca.

Freski otulone bawełnianymi kołdrami układa się w skrzyniach. Wszelkie luzy wypełnia się liśćmi palmowymi. Potem następuje dokładne zbitcie skrzyni. Ich stos rośnie każdego dnia. Patrzą na to z satysfakcją.

* * *

*

Upał zwiększa się ciągle. Komary i małe muszki są prawdziwą klęską. A obok święta rzeka toczy swe spienione, mętne, brązowe wody. Idę wieczorem na brzeg. Nil płynie powoli, ale jego poziom podnosi się stale, nieubłaganie. To on wyznacza nasz czas. Nadbrzeżne krzaki i niektóre palmy stoją już w wodzie. Na brzegu wszędzie ślady pośpiesznej ewakuacji wsi: jakieś pudła, szmaty, uszkodzone i pewnie w ostatniej chwili porzucone, resztki sprzętu domowego, ekskrementy zwierząt domowych. Wśród tego uwija się pliszka. Zwykła szara pliszka biega machając ogonkiem. Może szykuje się do powrotu do Polski?

Niebo robi się niebiesko-zielone. Nad horyzontem wisi już połówka złotego księżyca, a po przeciwnej stronie jeszcze czerwieni się gasnący zachód. W krzakach tamaryszku odzywa się turkawka. Jeszcze jeden

bardzo pracowity dzień. Woda pluszcze delikatnie. Obok fragmentów skrzyni płynie trup dużego osła. Widać tylko wzdęty bok. Może zwierzę nie wytrzymało tempa ucieczki, może padło przeciążone nadmiernie? Jakie to ma zresztą znaczenie?

Nie mamy od wielu tygodni żadnej poczty. W naszej kuchni dają się już we znaki dotkliwie braki. Nie dostajemy już żadnych jarzyn i owoców.

Odkopałem dziś grób nieznanego biskupa. W środku nie było już kości. Teraz pracuję nad grobami meroickimi, ale najważniejsze są freski.

Wstajemy o 5 rano. O 5 jest zupełnie ciemno i trzeba pracować przy lampach, ale wtedy można jeszcze coś zdziałać. Potem gorąco paraliżuje ruchy. Robotnicy odmawiają pracy. Kilku uciekło po prostu, rezygnując nawet z zapłaty. — Ich wydajność jest bardzo mała.

Rozpocząłem eksplorację dwóch zniszczonych, niegdyś zapewne sklepionych grobów chrześcijańskich. Znajdowały się już poza obrębem zespołu sakralnego katedry, w odległości około 150 m. Co za makabra, w grobach tych pochowano wtórnie stosy ludzi, rzuconych bezładnie na kupę, jeden na drugiego. Po prostu wykorzystano stare groby chrześcijańskie do pogrzebania późniejszych zwłok.

W jednej warstwie udaje mi się wyróżnić ponad dziesięć naturalnie zmumifikowanych ciał, z resztkami odzienia. Niektóre zwłoki należały do ludzi odmiany białej. Są to bez wątpienia zwłoki wojowników z okresu powstania Mahdiego. Tu, nad Nilem toczyły się zacięte walki z wojskami anglo-egipskimi. Ostatecznie nie takie to odległe czasy! Odślonięte trupy wydają jeszcze charakterystyczną woń. Rzecz zadziwiająca: natychmiast zlatują się ogromne białe sępy. Mają potężne dzioby i wielkie skrzydła z czarną wypustką. Ich głowy pokrywa delikatny puszek, przez który prześwieca czerwona szyja. Przysiadły obok i patrzą na nas złymi, żółtymi oczyma. Gdy robotnicy, pomagający mi w pracy, odchodzą na śniadanie, sępy przybliżają się do grobów, nic sobie ze mnie robiąc. Jest ich w tej chwili pięć. Rzucam w kierunku dwóch najbliższą łopatą. Nawet nie odlatują, tylko śmiesznie podskakując odchodzą parę metrów. Patrzą na mnie z ludzką wściekłością. Te duże, bezczelne ptaszyska mogą być niebezpieczne. Sądzę, że gdybym np. położył się tu, zaatakowałyby mnie. Zupełnie zeschłe mumie nie są dla nich zbyt atrakcyjnym kąskiem. Teraz nastąpiło między nami zawieszenie broni: ja stoję nad grobami i czekam na robotników. Sępy usadowiły się na przymie kamieni w odległości 10 metrów i też czekają? Na co? Aż odejdę, albo ... zasłabnę. Ale już wracają robotnicy.

Stwierdzam, że do grobów wrzucono ludzi w galabijach, bosych. Trudno tu się czegoś doszukać w tej zeschłej, związanej ze sobą płataninie ciał. Są to najprawdopodobniej żołnierze Mahdiego.

Musimy przygotować freski do ewakuacji i ewakuować je. To nie będzie łatwe, ale w tej chwili nie myślimy o tym. Trzeba resztę malowideł zdjąć ze ściany katedry. Prof. Michałowski kieruje całą akcją, wszystko trzyma w swym ręku jak kapitan na statku, może jeszcze nie tonącym, ale takim, któremu zagraża poważne niebezpieczeństwo. Bo tu już wszyscy są chorzy. Cała załoga. Opanowała nas jakaś gastryczna epidemia. Wszyscy mają biegunkę, a Jakobielski dodatkowo anginę.

Wczoraj przed końcem roboty poczułem się tak źle, że musiałem wcześniej zejść ze stanowiska i zażyć środki nasercowe. Aż do wieczora czułem się kiepsko. Przed nocą zainstalowałem się w pracowni, aby utrwalić w swych notatkach to, co dziś działałem.

Część ekipy trzeba było odesłać do Egiptu. Poza prof. Michałowskim i mną zostali tylko: Józef Gazy, Stefan Jakobielski, Marek Marciniak, Antoni Ostrasz i fotograf — Andrzej Dziewanowski. Obóz jeszcze bardziej opustoszał, ale tu nie ma czasu na sentymenty. My musimy wytrwać do końca.



Wielkanoc. Skromne śniadanie świąteczne. Wszyscy jesteśmy wykończeni. Zrobiłem „na zimno” wielkanocny mazurek. Trochę chałwy (która tu jest bardzo popularnym tanim przysmakiem) zmieszałem z żółtkami jaj, utartymi na gogiel-mogiel. Do tego dodałem sporo pokruszonych polskich herbaników. Wszystko to ugniotłem w dużej misce. W czasie tej czynności stała nade mną grupka naszych robotników z otwartymi gębami, patrząc jak ta gęsta masa przylepia się do mych rąk, których nie mogę oderwać od podnoszącej się do góry i podskakującej miski. Wiedzieli, że to „bajram bolandiji”, jakieś nasze polskie święto, a mój wytwór kulinarny uznali za jakieś rytualne jedzenie. Mazurek był wymieniony, tylko strasznie kleił się do zębów.

Po podzieleniu się jajkiem trzeba było wracać do roboty. Nasze zapasy żywnościowe są na wykończeniu. Nie mamy jarzyn, mleka, sera i mięsa. W Wadi Halfa można dostać jajka i właśnie chałwę. Nam zostały zapasy musztardy i sporo herbatników.

Robotnicy zaczynają się rozlaźić. W tym kraju praca musi być połączona z elementem rozrywki, z kontaktami towarzyskimi (zaspakajają ją kawiarnia „Hilton”). Teraz to martwe pustkowienie!

Zaczął się też nowy problem. Spienione wody Nilu wdzierają się na brzeg, podchodzą pod nasz kom i teren wykopalisk. Przed napierającą wodą ucieka wszystko, co żyje — jaszczurki, węże, pająki, skorpiony. Wszystko cofa się przed tym potopem. W naszym obejściu ktoś widział węża. Jednocześnie zwiększa się upał, co podwaja aktywność wszystkich zwierząt.

Po drugiej stronie rzeki, koło dawnej strażnicy na skałach, schodzących bezpośrednio do wody, wygrzewają się ogromne warany, płochliwe jaszczurki przekraczające nawet 2 m długości. Jest ich teraz więcej. Musiały przenieść się z niżej położonych, a już zalanych skał.

Rzeka niby płynie, ale tego nie widać. Wiadomo natomiast, że przybiera.

Kończę swoją robotę. Nasz czarny służący — Hussejn — jakoś trzyma się nas. Pochodzi z dalekiego południa Sudanu, z prowincji Equatoria. Jest zawsze wesoły i towarzyski, przy tym inteligentny. Nauczył się kilku słów po polsku i wystarczy mu powiedzieć *lahed herbata*, aby przygotował gorący napój, bardzo tu potrzebny. Wieczorem poważnym głosem zapowiada: „kolacja podana”. Wzięlibyśmy go chętnie do naszej Stacji w Kairze, ale tam, w dużym mieście, ci uczciwi i pracowni ludzie demoralizują się szybko. Wielkie miasto ze swymi pokusami, anonimowością ulic, obojętnością na wszystko, cynizmem dnia powszedniego i fałszem święta — załamuje szybko te wrażliwe natury.

Hussejn lubi śpiewać. Czasem cały dzień zawodzi swe monotonne piosenki. Hussejn nie lubi sprzątać. Niestarannie czyści namioty i nie dbale sprząta podwórko. Każdy ma swoje wady, ale Hussejn lubi gotować i z namaszczeniem podaje do stołu. Kiedyś zwierzył mi się, że namiętnie lubi strzelać. W Wadi Halfa zawsze chodzi na strzelnicę i strzela do celu. Kiedyś wygrał nawet koguta. Ale teraz Hessejn rzadko ma okazję do odwiedzania strzelnicy, a u nas w obozie nie ma żadnej broni. Raz dowiedział się, że prof. Michałowski jedzie do Wadi Halfa i oświadczył że musi jechać z Profesorem do szpitala. Na moje zapytanie, co mu dolega, podniósł do góry szeroki rękaw swej błękitnej galabii i pokazał kilka starych kurzajek. Do Wadi Halfa nie pojechał.

Po obiedzie biorę łódkę i wymykam się z obozu. Chcę popłynąć wzdłuż brzegu, żeby się wykapać. Jest surowy zakaz kąpieli. W naszej części rzeki znów pojawiły się krokodyle. Nikt ich teraz nie płoszy, więc wychodzą na brzeg. A krokodyl na lądzie jest równie niebezpieczny jak w wodzie.

Płynę wzdłuż nadbrzeżnych zarośli. Prąd przy brzegu jest słaby, ale mimo to uważam, żeby mnie nie zniosło na środek. Byłoby wtedy trudno wrócić z powrotem. Znajduję maleńką zatoczkę i zakotwiczam łódkę. Brzeg jest tu piaszczysty, pozostała jeszcze reszta plaży. Nad nią wznosi się niska, zielona skarpa. Wchodzę powoli do wody, gdy już sięga mi do bioder, słyszę za sobą jakiś szelest od strony brzegu. Zielona trawa porusza się gwałtownie i nagle ze skarpy coś zeskakuje na mokry piasek. W odległości paru metrów ode mnie znieruchomiał wielki waran. Ma piękną połyskującą skórę, długi ogon. (Razem z ogonem mierzy chyba około trzech metrów?). Jesteśmy oboje jednakowo zaskoczeni. Jaszczurka przechyla głowę i obserwuje mnie bacznie błyszczącym okiem. Stoję w

w wodzie i boję się ruszyć, bo wiem, że zjawisko natychmiast zniknie. Z drugiej strony waran, wracający zapewne z polowania na brzegu, ma w pewnym sensie odcięty odwrót od strony wody. Jaszczurka — nie spiesząc się — przeży ciało, odpycha się silnie tylnymi nogami, przednie układając wzdłuż boków do tyłu i daje potężnego susa w bok do wody. Jeszcze widzę wygięty jej przód i zamknięte oczy. Ginie w mętnej wodzie.

Spotkanie było ciekawe, jedyne w swoim rodzaju. Może ktoś, nie obeznany z zoologią, przestraszyłby się, że ma do czynienia z krokodylem? Ja (wieloletni hodowca krokodyli) nie miałem tych wątpliwości i przeżyłem ciekawą przygodę.

Wracam ukradkiem do obozu, odświeżony i w dobrym nastroju. Ostatnio czułem się niezbyt dobrze, a to na takim pustkowiu prowadzi do załamań i depresji.

* * *

*

Wyjeżdżam z Faras. Gdy poszedłem dziś na brzeg, stwierdziłem, że mętna, brudna woda znów zabrała kilka centymetrów ładu. Spod nóg uciekł mi wąż. Jest dziś niesamowity upał. Prof. Michałowski wstał po poobiednim odpoczynku spocony, z potarganymi włosami. Jego drelichowa bluza była mokra.

„Wie Pan — powiedział — zdaje się że łatwiej było odkryć, wydobyć i zabezpieczyć te freski niż je teraz ocalić...”

Przed nami piętrzyły się zapakowane, gotowe do transportu skrzynie z beczennymi molowidłami.

„Tu teraz prawdziwy exodus” — mówi Profesor.” Kogo da się namówić na transport? Kto w ogóle będzie chciał nas słuchać? Gdy mówiłem o tym w Muzeum z Dżamilem, uśmiechał się uprzejmie i wszystko obiecywał, ale zdaje się, iż oni sami nie bardzo w to wierzą. Brak jest środków transportu.

Opuszczałem Faras pełen niepokoju i różnych obaw. Wszyscy czuli się tam teraz niezbyt dobrze. Jakobielski przewiózł mnie na drugą stronę rzeki naszym pontonem. Jeszcze z daleka widziałem Profesora, jak machał mi ręką. Jednak nie mogłem tam pozostać dłużej. Wzywano mnie telegraficznie do Deir el Bahari, gdzie w gruzowisku świątyni Totmesa III znaleziono nietknięte sarkofagi antropomorficzne. Miałem wziąć udział w specjalnej komisji wyznaczonej przez Egipski Service des Antiquites do ich otwarcia i przebadania.

Do Wadi Halfa dojechałem wojskowym jeepem. W Muzeum już nie było nikogo. Stary dozorca poinformował mnie, że Efendi Abdel Rachim jest w hoteliku „Mahdzula”. Znalazłem go tam i razem pojechaliśmy do „Nile Hotelu”. Ten zabytek kolonialnej architektury XIX wieku był je-

szcze czynny. Niewiele będzie można stąd uratować. Nie było już tu turystów i tego gwaru, jaki tam zastałem w ubiegłym roku. W mym obecnym pokoju, nad nieużytecznym kominkiem, wisiał portret słynnej ongiś Carmensity (urodzonej w 1856 r.) — smętny, śmieszny relikw z dawno minionej przeszłości. Tylko tu mogła przetrwać ta pozostałość z *belle époque*.

Po kolacji z sennej portierni usiłowałem dotelefonować się do dra Adamsa. Wdałem się w krótką pogawędkę z portierem. „Wadi Halfa hałas?” „La, la — zaprzeczyl — Wadi Halfa mortu!”.

„Żadne z naszych wykopalisk na Bliskim Wschodzie nie przyniosło nauce polskiej tyle uznania, a nawet sławy w świecie, jak właśnie nasze odkrycie w Faras” — pisał w wiele lat po tym Kazimierz Michałowski. „Złożyło się na to kilka przyczyn. Przede wszystkim wartość samego odkrycia, niepowtarzalna i prawdziwie spektakularna, a po drugie — sposobna chwila, gdy do współzawodnictwa w wielkiej kampanii nubijskiej w latach sześćdziesiątych pod patronatem UNESCO stanęło kilkadziesiąt misji z całego niemal świata, wysłanych nie tylko przez instytuty, muzea i ośrodki naukowe, szcycące się wielką tradycją badań nad Nilem, ale nawet kraje takie, jak Argentyna czy Japonia, które po raz pierwszy dały znać o sobie w archeologii Egiptu. Prasa światowa uznała, że Polacy wygrali największy los w owej „loterii” nubijskiej. Dzięki naszym wykopaliskom nazwa tej małej, nikomu nie znanej, a dziś już nie istniejącej, zatopionej wodami sztucznego jeziora, nubijskiej wioski arabskiej, stała się z jednej strony synonimem pewnego okresu sztuki malarskiej, z drugiej — symbolem wielkiego odkrycia archeologicznego” *.

Przypominam sobie jednak słowa prof. Michałowskiego, które utkwiły mi mocno w pamięci: „Były to chwile, kiedy naszą sytuację porównywałem do słynnej szarży pod Samosierrą. Okryliśmy się chwałą dokonawszy „cudu” w Faras, ale byliśmy narażeni na to, że cały nasz trud zostanie zaprzepaszczony”.

Udało się ocalić freski i inne bezcenne zabytki z Faras. Galeria tych molowideł zdoła dziś specjalnie wybudowaną część Muzeum Narodowego w Warszawie, ściągając do stolicy Polski zarówno specjalistów zagadnienia, jak i liczne rzesze turystów.

Druga ich partia, zabezpieczona przez Polaków, znajduje się w Muzeum Narodowym w Chartumie.

Materiały przywiezione z Faras stanowią i przez długie lata będą stanowić źródło do rozlicznych poszukiwań i opracowań naukowych. Dalsze badania w Górnym Egipcie i w Dongoli uzupełniają niewątpliwie ten rozdział historii Sudanu.

* Kazimierz Michałowski: *Od Edfu do Faras. Polskie odkrycia archeologii śródziemnomorskiej*. Warszawa 1974.

I tak dzięki odkryciu jednego Człowieka zbliżyliśmy się do odległego kraju afrykańskiego, czarnego Sudanu, który dla wszystkich, mających z nim kontakt, zawsze pozostanie drogi.

T. Держикрай-Рогальски

ФАРАС — ДНЕВНИК УЧАСТНИКА ПОЛЬСКОЙ ЭКСПЕДИЦИИ

Автор представляет „тайну” археологических и антропологических работ во время пребывания польской экспедиции в Фарас. Эти раскопки начались после призыва UNESCO для спасения бесценных памятников человеческой культуры. Строительство большой переграды на Ассуане вызвало затопление этих территории водами Озера Нассера.

Участие поляков в спасительной акции UNESCO было чрезвычайно полезным, так что мировое общественное мнение назвало его польским „чудесом из Фарас”.

Автор — антрополог, самый близкий сотрудник профессора Казимежа Михаловского опубликовал часть своего дневника из работ проведённых в Нубии в период 1963—1964.

T. Dzierżykray-Rogalski

FARAS (NOTES DU JOURNAL DU BORD)

L'auteur présente des fragments de la „cuisine” archéologique et anthropologique du temps des travaux de l'Expédition Polonaise chargée des fouilles à Faras. Les fouilles en question commencèrent au moment où l'UNESCO lança l'appel de sauver les monuments précieux de la culture humaine sur les territoires de la Nubie de Soudan. La construction du barrage d'Assouan, barage-réservoir immense, fut à l'origine de l'inondation de ces terrains par les eaux du Lac de Nasser.

La participation des Polonais à l'action de sauvetage, lancée par l'UNESCO, fut très fructueuse, si bien que l'opinion mondiale n'a pas hésité de l'appeler le „Miracle polonais de Faras”.

L'auteurs, anthropologue et collaborateur très proche du professeur Kazimierz Michałowski, publie une partie de son journal écrit pendant les travaux en Nubie, en 1963 et 1964.

